



JAKUB WOLMAN

Protokół z przesłuchania świadka Jakuba Wolmana przez Komisję dla Badania Zbrodni Niemiecko-Hitlerowskich w Oświęcimiu w dniach 13 i 14 kwietnia 1945 r., w Krakowie. Przewodniczy minister Rzymowski. Świadek Wolman, po złożeniu przyrzeczenia, zeznaje, co następuje:

Imię i nazwisko	Jakub Wolman
Imiona rodziców	Abram i Cykora
Data urodzenia	13 lipca 1914 r.
Zawód	lekarz
Narodowość	żydowska
Wyznanie	mojżeszowe
Obywatelstwo	polskie
Miejsce stałego zamieszkania przed aresztowaniem	Bratysława, Czechosłowacja

Przewodniczący: Proszę teraz pana doktora o przedstawienie nam ogólnego obrazu swoich przeżyć z obozu czy też z obozów, które pan przechodził, z uwzględnieniem tego, co pan uważa za najistotniejsze i najbardziej znamienne dla praktyk niemieckich. A więc naprzód w jakich warunkach był pan aresztowany i jak dalej potoczyły się pańskie koleje?

Świadek: Od 1931 r. studiowałem w Czechosłowacji. W marcu 1942 r. znalazłem się w Czechosłowacji w obozie pracy. Z obozu tego w połowie kwietnia zabrano większą ilość pracujących, posłano na punkt koncentracyjny i kilkanaście dni później wysłano cały transport przez Żylinę do Oświęcimia, w tym i mnie.

Do Oświęcimia przyjechałem w transporcie tysiąca ludzi: dzieci, kobiet i mężczyzn.

Prokurator Pęchalski: Skąd się pan wziął w obozie pracy? Kto i kiedy pana tam umieścił?

Świadek: Zgłosiłem się tam dobrowolnie. Wypadki zgłaszania się ochotniczo do obozów pracy, ażeby móc zarobić na chleb, były częste, gdyż warunki życiowe w Słowacji były wtedy bardzo ciężkie zwłaszcza dla Żydów. Mnie wojna zastała na Słowacji. Ostatni raz byłem w domu w 1938 r. Wyjechałem z Polski w 1931 r. w celu studiowania w Bratysławie i z małymi przerwami przebywałem tam do 1942 r. Transporty Żydów ze Słowacji zaczęły się w marcu 1942 r. Mówiono o transportach do pracy. Z początku brano tylko ludzi młodych.

Przewodniczący: Czy wiedzieliście, dokąd was skierują?

Świadek: Tego nie wiedzieliśmy. Mówiono o pracy na Ukrainie. Pierwsze to były transporty młodych niezamężnych dziewcząt.

Przewodniczący: Jakiej narodowości?

Świadek: Tylko Żydówki. Następnie wywieziono transporty młodych mężczyzn. Z początkiem kwietnia zaczęły się transporty całych rodzin. Wtedy nie mówiono już o transportach do pracy, lecz w celu kolonizacji na Ukrainie, na wschodnich rubieżach ziem polskich. Ciekawe jest jedno, że we wszystkich krajach europejskich, gdzie były transporty Żydów, była szerzona przez gestapo bajeczka o kolonizacji w tej czy innej formie. Jako znamieny przykład chciałbym przytoczyć Grecję. W Grecji nie tylko mówiono ludziom, że jadą na kolonizację, ale i urzędy niemieckie spisywały kontrakty z Żydami. Były to akty sprzedaży. Sprzedawano danemu człowiekowi ziemię, chatę, konie, kilka krów, świń, przyrządy gospodarskie i za to musieli płacić w złotych drachmach. Te kontrakty myśmy widzieli.

Przewodniczący: Czy to były transakcje dobrowolne?

Świadek: Tak. Jeżeli takiej transakcji nie zawarł, to jechał bez tego. Ale taki człowiek rozumował w ten sposób: jeżeli jadę na kolonizację, a mam tu majątek, to wolę go spieniężyć, tam coś kupić i zacząć nowe życie.

Przewodniczący: Skąd pan ma te wiadomości o Grekach? Czy w Oświęcimiu spotkał się z ofiarami tych transakcji?

Świadek: Tak, przyjeżdżali ci właśnie Grecy, którym wszystko zabrali. Dali im ubranie lagrowe i bieliznę, natomiast wszystkie prywatne rzeczy im odebrano. Jeśli chodzi o inne rzeczy, to nie protestowali, lecz dopominali się o ten jeden papier. To był właśnie dokument sprzedaży.

Posłanka Boguszewska: Czy była tam zapisana miejscowość, gdzie oni mieli dostać tę posiadłość?

Świadek: Nie. Powiedziano im: „Jedźcie na Ukrainę i w miejscu, gdzie was osiedlą, jest przygotowana ziemia i zabudowania gospodarskie opuszczone przez chłopów. To wam przydzielą, będziecie tam pracować i to kolonizować”. Dzisiaj, gdy człowiek patrzy z perspektywy na te rzeczy, to wydaje mu się, że to byli ludzie niemądrzy, którzy nie potrafili zrozumieć tej perfidii niemieckiej.

Przewodniczący: Rzeczy zabierano na samym wstępie?

Świadek: Wszystko zabierano. Trzeba pamiętać, że to nie był 1945 r., wtedy jeszcześmy Niemców tak nie znali. Gdybym był na miejscu tego Greka, z moimi poglądami na życie, na człowieka, jakbym się na to zapatrywał? Gdyby mi mówiono: „Jesteś wysiedlony, będziesz tam i tam brał udział w kolonizacji”, gdyby przyszła do mnie osoba z urzędu i powiedziała, że daje mi możliwość na podstawie dokumentu zakupu majątku tam, gdzie będę żył w przyszłości, myślałbym, że istnieje przecież jakieś prawo, jakaś sprawiedliwość. Jeżeli on jest urzędnikiem, to mam podstawy, żeby mu wierzyć. Nikt wówczas nie pomyślałby, że taka perfidia i cynizm jest możliwy.

Przewodniczący: Jeżeli się znajdowali tacy Grecy, którzy sprzedawali te gospodarstwa, to musieli być tacy, którzy je nabywali.

Świadek: Nieporozumienie. Jeżeli on miał sklep czy dom, czy warsztat pracy, to go sprzedawał, żeby na Ukrainie nabyć ziemię.

Przewodniczący: Więc jednak byli tacy, którzy nabywali ten sklep czy ten dom. A te pieniądze on zabierał z sobą?

Świadek: Nie, on je wpłacał urzędowi niemieckiemu w złotych drachmach.

Przewodniczący: Za to dostawał ten dokument, który tak wysoko cenił?

Świadek: No tak, bo to uważał za podstawę bytu. Zupełnie logicznie. To samo w tej czy innej formie działo się w innych krajach.

Przewodniczący: Może pan opisać nam warunki przyjazdu.

Świadek: Chciałbym opisać codzienne życie więźnia, jak on przybył, jak pracował, jak wyglądał rano, jak wyglądała każda godzina jego życia, w jaki sposób żył i jak się zmieniał.

Przewodniczący: Proszę, niech pan od razu do tego przystąpi.

Świadek: Transport tysiąca ludzi – dzieci, kobiet, mężczyzn – odbył się w 40 wagonach towarowych, w których była tylko słoma.

Przewodniczący: Kiedyście przyjechali?

Świadek: To był tzw. szósty transport żyliński. Wyjechaliśmy z Żyliny o godz. 11.30 w nocy. Załadowano nas i jechaliśmy całą noc. Przyjechaliśmy o godzinie wpół do drugiej następnego dnia.

Poseł Kornacki: To znaczy którego dnia?

Świadek: Załadowano nas w nocy z 28 na 29 kwietnia 1942 r., a do Oświęcimia przyjechaliśmy 29 kwietnia między godz. 12.00 a 13.30 w południe. Otworzyły się drzwi. Pociąg stał. Patrząc przez okienko, gdzie jesteśmy, i widzę grupę dziwnie wyglądających ludzi. Starcy w pasiastych ubraniach, z łopatami, pracujący jak na ludzi w tym wieku dosyć szybko, a dookoła nich kręcą się inni ludzie, dobrze wyglądający w pasiakach i z kijami. W dalszej perspektywie słupy betonowe i druty, a na tych słupach izolatory z porcelany. I wtedy zrozumiałem, gdzie jestem. Bo co to jest obóz koncentracyjny i jak wygląda, o tym już wiedziałem.

Przewodniczący: Jakie były wasze przypuszczenia co do podróży?

Świadek: Myśmiliśmy przypuszczaliśmy, że jedziemy do Lublina.

Przewodniczący: Do Majdanka?

Świadek: Myśmiliśmy nie wiedzieli, co to jest Majdanek, mówiono nam tylko, że koło Lublina kolonizuje się ziemię i Żydzi tam będą osadzeni, że druga część transportu ma iść na Ukrainę. Dowiedzieliśmy się jednak od kolejarzy, że pierwszy transport dziewcząt poszedł nie do Lublina, lecz do Oświęcimia, że pracują tam w fabrykach mydła i że jest im dobrze. Eskortowała nas Hlinks-Garda [Gwardia Hlinki], a na granicy oddano nas w ręce SS-manów. Tam też dowiedzieliśmy się, że jedziemy nie w kierunku Lublina, lecz Oświęcimia.

Prokurator Pęchalski: Czy wiedzieliście, co to jest Oświęcim?

Świadek: Nie, nie wiedzieliśmy, tzn. wiedzieliśmy, że są tam fabryki i cieszyliśmy się, że nie [jedziemy] do Lublina, bo mówiło się, że w Lublinie nie jest dobrze.

Przy wyjściu z wagonów zjawili się SS-mani i krzyczą: „Los, los, Bewegung” i z kijami w rękach wyganiają ludzi z wagonów. W ten sposób już od pierwszej chwili zaczęła się ta atmosfera i ten system, który nas odtąd otaczał dzień i noc: *Los, los, Bewegung*. Od razu nas posortowano. Osobno kobiety i dzieci, osobno mężczyźni. Zanim człowiek zdążył się pożegnać, już grupa kobiet znikła, a myśmy poszli w innym kierunku. Wyjeżdżając, nikt nie wiedział, dokąd jedzie i po co, ale każdy liczył, że jedzie na stałe i zabierał z sobą, co mógł. Nawet były przepisy, co zabrać i ile zabrać, jako minimum. Ubranie takie i ubranie robocze, i buty do roboty, ażeby po prostu przekonać tych ludzi, że chodzi o robotę.

Prokurator Pęczalski: Maksymalnej granicy nie oznaczono, tylko minimalną?

Świadek: Tak, tylko minimalną. Idziemy drogą, dochodzimy do wielkiej bramy, dookoła druty, a na bramie napis: „Arbeit macht Frei”. To nas pociesza, jestem zdrowy, pracy się nie boję, nabieram nadziei. Domki są murowane, ludzie, którzy chodzą koło tych domków, dość dobrze wyglądają. Myśmy przyjechali w dzień, więc inni byli przy robocie, a chodzili tylko promineni lagrowi. A to, że biją, że pałkami rozmawiają, że to jest normalna rzecz dla gestapo i SS, nad tym człowiek się tak bardzo nie zastanawiał, o tym wiedział, gdyż to należało do obrazu SS-mana znanego jeszcze na wolności. Przychodzimy, ustawiają nas. Przechodzimy przed jeden z bloków. Każdego z nas przepuszczają przez korytarz jednego z bloków, zabierają wszystkie paczki i znowu wypuszczają na ulicę. Człowiek stoi już bez paczek, ale ubrany. Człowiek się trochę dziwi – ale nic – trzeba czekać. Przed drugim blokiem też może tysiąc osób, przed trzecim także – był to dzień wielkich transportów.

Przewodniczący: Czy już wówczas były w lagrze te wysokie domy piętrowe?

Świadek: Tak, chciałbym zaznaczyć, że czekanie i stanie w lagrze było rzeczą bardzo charakterystyczną. Potem wzięto się za nas, a więc w grupach 20–30 ludzi brano nas na blok 26., gdzie nas rozbierano do naga. Przepraszam, rozbierało się przed blokiem. Dostawało się torbę i dwa numerki: jeden wkładało się do torby, a drugi trzymało w ręku. Wchodzimy. Fryzjer goli włosy. Kąpiel. Myśmy mieli szczęście, gdyż kąpiel była ciepła, a było wówczas bardzo zimno, chociaż to był kwiecień i po drodze z pociągu wszędzie widzieliśmy śnieg. Po gorącej kąpeli pod prysznicem, która trwała tylko minutę, wygnano nas na dwór nago,

mokrych, i znów trzeba było stać i czekać, aż każdego nasmarowano naftą. To się nazywa: kąpiel, dezynfekcja i odwzanie. Stąd na drugi blok. Tam każdy dostał kalesony, koszulę i stary, letni mundur rosyjski. Były to spodnie, bluza i para drewniaków. To wszystko.

Przewodniczący: Bez czapek?

Świadek: Część dostała mycki. Znowu wygnano nas na dwór i czekamy. Śpimy dwie godziny i trzęsiemy się, dosłownie rzuca nas z zimna. Potem wchodzimy do ambulatorium, gdzie notuje się nazwisko i imię i gdzie każdego tatuowano. Tatuaż był wtedy robiony nie ręcznie, lecz stemplem. Była godzina może 9.00, może 10.00 w nocy, w każdym razie dawno już było ciemno. Zaprowadzono nas do piwnicy bloku 18. Piwnica była z betonu i tam przesiedzieliśmy całą noc.

Przewodniczący: O posiłku nie było mowy?

Świadek: Nie, skąd. Nazajutrz siedzimy znowu w piwnicy, robi się godz. 10.00, 11.00, 12.00. Dopiero o 12.00 przynoszą zupę. Dostajemy litr tej zupy na osobę. Ludzie jednak nie byli głodni, tylko spragnieni; jest to zrozumiałe: jak człowiek przychodzi z wolności, nie jest wygłodzony, poza tym jest zdenerwowany, więc głodu nie odczuwa, tylko pragnienie, tak, że ludzie mało jedli tej zupy, parę łyżek – w przenośni – gdyż łyżek nie było – zupę piło się z miski. Pamiętam, okna wychodziły na ulicę. Patrząc przez okno i widzę, jak zbliża się jakiś człowiek kościotrup, tylko skóra i kości, twarz starcza, zupełnie już nie ludzka. Jakiś obłąd w tych oczach, jakieś przerażenie, którego wręcz opisać nie można. Zbliża się do okienka i prosi jednego o zupę, potem idzie do drugiego, do trzeciego, potem widzę, że za okienkiem stoi ich jeszcze kilku. I nagle słyszę głos: „Co ty tu kraść przychodzisz, kraść u kolegi?”. Tak woła blokowy.

Przewodniczący: Jak wyglądał blokowy?

Świadek: Dobrze wyglądał, był elegancko ubrany, to znaczy nosił pasiaste ubranie, ale czyste i elegancko wyprasowane.

A więc blokowy bierze tego „muzułmana” – myśmy tak nazywali ludzi, którzy wyglądali jak szkielety, lecz jeszcze potrafili trzymać się na nogach.

Przewodniczący: Nie dowiedział się pan, skąd ta nazwa pochodziła?

Świadek: Nie wiem, ale w innych obozach też ich tak nazywano. Ktoś mi mówił, że to dlatego, że święty turecki jest bardzo chudy. Blokowy krzyczy: „U kolegi nie można kraść. Ja

cię tu nauczę. Dostaniesz 25 dla przykładu". I rzeczywiście dostał 25. To było to samo, jakby go zastrzelił, ponieważ ten człowiek już tego nie przeżył.

Prokurator Pęchalski: Czy w tym momencie byliście jeszcze przekonani, że będziecie tymi kolonizatorami?

Świadek: W tej chwili człowiek w ogóle nie myślał. Niech pan nie myśli o tym, co myśmy mogli przeżywać, tylko niech pan postara się sam w to wżyć.

Przewodniczący: Proszę o dalszy tok opowieści.

Świadek: Po południu, po tym posiłku wyprowadzono nas na podwórze. Przyleciał wysoki, rudy SS-man o dość przyjemnym głosie i pytał, kto zgłasza się na ciężkie roboty. Kto zdrowy, młody i czuje się na siłach do ciężkiej roboty, kto nie da rady, pójdzie do obozu, gdzie robota jest lżejsza. Już wtedy wiedziałem, że u Niemców należy zawsze zgłaszać się do najgorszego, bo jak Niemiec chce komu ulżyć, to potrafi mu ulżyć tylko w jeden sposób. Zgłosiłem się i kilku młodych ludzi, którzy też się od razu zorientowali.

Przewodniczący: Czy większość była tych, co się zgłosili na ciężkie roboty?

Świadek: Procent był duży. Do drugiej grupy poszli naprawdę chorzy i starzy. Gdyśmy się ustawili, zadano nam dwa pytania: „Ile masz lat i jaki zawód?” – „Co? Stolarz” – I buch w twarz, ale bez złości, tak jakby mu powiedział „dzień dobry” lub „dziękuję”. Do drugiego: „Zawód?” – „Buchalter”. I znowu uderzenie w twarz. I tak szło po kolei. Staliśmy do godz. 4.00 czy 5.00 po południu. Potem wzięli nas na dół i ustawili do apelu. Patrzą, żywi stoją piątkami, a obok układa się trupy, także piątkami. Po apelu wracamy na sztubę, zjadamy kolację. Sztuba miała ok. 90 łóżek, w którym miało się zmieścić 250 ludzi. Każdy chciałby iść spać, żeby odpocząć, żeby zebrać myśli, żeby sobie uświadomić wszystko, co się stało. Ale gdzie tam! Sztubowy zaczyna wołać: „Zugangi”. Po tych *Zugangach* każdy jeździł, czy sztubowy, czy SS-man, czy kapo, czy też starszy więzień, który był tam już dłużej. Teraz dopiero spisywano nazwiska i numery, pouczano i tłumaczono, a następnego dnia rano obudzono nas o godz. 3.30. To była specjalność bloku 18., jak się potem dowiedzieliśmy. To był blok Buny. To znaczy więźniowie, którzy tam byli, jeździli codziennie do Buny i dlatego tak wcześnie musieli wstawać.

Przewodniczący: Pan oświadczył, że jest lekarzem, wiedzieli więc o tym i nie zwrócili uwagi?

Świadek: Nie. A więc, ok. 200 osób zostawało, jako rezerwa do pracy na Bunie, nas zaś zaprowadzono do innej roboty, niedaleko obozu, do takiego *Abbruch*, to jest do rozbierania domów, które trzeba było usunąć, ażeby utworzyć teren pod budowę obozu. Warunki pracy były opłakane – już nie ze względu na człowieka, ale na samą pracę. Ściana, którą się rozbierało, spadała na pracujących. Byliśmy ciągle poganiani i człowiek wiedział, że jeżeli na chwilę przestanie robić, czy nie tak szybko poda, jak nakazano, to w tej chwili spadnie na niego uderzenie pałką.

Pracowaliśmy do obiadu; na obiad każdy dostawał litr zupy i wracał z powrotem do roboty. Wieczorem otrzymywaliśmy kolację i szliśmy spać. O godz. 3.30 rano budził nas głos pisarza blokowego: „Wstawać!”. I zaczynało się bicie. Kto nie wstał od razu, był bity, kto szedł się myć, był popędzany biciem, kto nie szedł się myć, był bity. Gdy szliśmy do roboty, popędzali nas biciem. W pracy pozbyliśmy się sztubowego, na jego miejsce był *Vorarbeiter*, który też nie szczędził nam razów. Robota była bardzo ciężka, co robiliśmy, wszystko było mało. Byliśmy bardzo głodni, była to rzecz najstraszniejsza w obozie, z dnia na dzień chudliśmy, byliśmy wyczerpani pracą tak, że liczyliśmy tylko na przeżycie kilku dni. Okradano nas, nie dawali nam całego litra zupy, obcinano porcje chleba i dodatków do chleba. Wody nie należało pić, gdyż wywoływała biegunkę, co oznaczało śmierć. W Oświęcimiu była poprowadzona kanalizacja i w każdym bloku znajdowała się bieżąca woda, pić jej jednak nie było wolno, gdyż zawierała bakterie. Gdy służbowy był porządnym człowiekiem, nie pozwalał pić tej wody i bił, wiedząc, że oznacza to śmierć. Innym służbowym było to obojętne, czy więzień pije, czy nie. W kilka dni później dostałem się do tzw. *Kiesgrube*. Pracowała tam głównie kompania karna *Strafkommando*, która mieściła się w bloku nr 11. Wybrańcy z *Strafkommando* byli naszymi *Vorarbeiterami*. Więźniowie skazani na *Strafkommando* umierali dużo szybciej niż w obozie. W kompani karnej nie wolno było niczego robić, za wszystko bito – wolno było tylko umierać.

Z początkiem kwietnia 1942 r. po raz pierwszy pokazali się na obozie Żydzi. Do tego czasu wszystkich Żydów wcielano wprost do *Strafkommando* w bloku 11. Mogli tam przeżyć najwięcej dwa, trzy dni. Jeżeli żyli pięć dni, to był rekord. Kiedy z początkiem kwietnia, jak wspominałem, pokazaliśmy się na obozie, dziwiono się ogólnie, skąd się bierzemy. Mogliśmy liczyć wtedy na trzy – cztery tygodnie życia.

W obozie zabijał ludzi brak jedzenia, infekcja, bicie, biegunka i malejąca z godziny na godzinę odporność organizmu. Już po dwóch tygodniach więzień nabierał charakterystycznego wyglądu ze specjalnym wyrazem twarzy, a z oczu przebiegał obłęd i przerażenie.

Raz po skończonej pracy wróciliśmy na blok i ustawiliśmy się do apelu. Słysząc strzały. Po skończonym apelu zaciekawiony, choć zmęczony, podszedłem do drutu, spostrzegłem więźnia chwytającego się drutów, którego prąd rzucał dłuższą chwilę. Z budek wartowniczych padały strzały i po chwili trafiony zawisł na drutach.

W 1944 r. miałem sposobność zobaczyć w szpitalu pacjenta, popalonego na drucie. Chciał podać chleb z obozu męskiego do kobiecego; ale przestraszony strzałem dotknął drutu. Było to w dzień, prąd nie był silny i więźniowie, widząc to, posypali go piaskiem, a następnie oddzielili deską od drutu. Dostał się do szpitala i opowiadał, że w momencie uchwycenia przez prąd zemdlał i nie wiedział, co się z nim dzieje.

Wieczorem i rano ciągle było słyszeć strzały skierowane do ludzi, którzy w ten sposób – na drutach – popełniali samobójstwa. Na *Kiesgrube* pracowałem przez dziesięć dni. Pewnej niedzieli zwołano wszystkich i większą część przydzielono do komando *Buna*, mieszczącego się w bloku 18. (*Buna* był to zespół fabryk [znajdujący się] sześć kilometrów od obozu, w którym przerabiano sztuczny kauczuk).

Rano o godz. 3.00 budzono nas i ciągle bijąc, formowano nas w setki. Komando liczyło od 15–18 setek ludzi. Szliśmy około dziesięć minut do rampy, za którą stały bydłące wagony. Wpakowano nas po 120 do jednego wagonu, a muszę zaznaczyć, że jedna czwarta wagonu musiała pozostać wolna dla kapo i *Vorarbeiterów*. Podróż trwała ok. 15–20 min, po czym każde komando szło na miejsce wyznaczonej mu pracy. Najpierw pracowałem przy kopaniu fundamentów, pilnowali nas kapo, *Voraibeter* i postowie. Każda 20 miała dwóch postów oraz majstra, cywilnego Niemca. Wszystkim zależało na tym, byśmy pracowali jak najszybciej: majstrowi dlatego, że firma płaciła za każdego więźnia, a SS-manom ze względów zasadniczych. Były dni, gdyśmy mieli dobrych postów. Byli to ludzie leniwi, którym nie chciało się pilnować nas przez cały dzień. Po jakimś czasie zorientowaliśmy się, który z nich jest dobry, a który zły. Jednak, gdy majster zauważył, że post nas nie popędza, wystarczyło, aby dał mu kilka papierosów i tym przekonywał go do zapędzenia nas. Zdarzało się, że postowie z nudów wymyślali sobie różne „zabawy”, np. jednego razu post woła więźnia, bije go prętem po palcach, szczęście dla więźnia, że nie został poraniony, gdyż było to wyrokiem śmierci: kiedy rany ropiały, odsyłano do lazaretu, a stamtąd do gazu.

Pewnego razu kazano mi z drugim więźniem, moim kolegą, wykopać dół na cztery metry sześciennie. Gdy już połowa roboty była zrobiona, przyszedł do nas post i rozkazał za 20 min

robotę wykończyć. Widzieliśmy, że było to niemożliwe do wykonania, jednak zaczęliśmy jeszcze szybciej pracować z nadzieją, że może potrafimy tego dokonać. Widzieliśmy wyraźnie, że pośpiech nasz bawi posta, przedłużył nam o kilka minut ten termin, a w końcu zbił nas kijem. Całe szczęście, że było to pod koniec dnia roboczego i musieliśmy udać się do bloków. Post na to nie mógł nic poradzić, ponieważ był obowiązany odstawić nas na czas.

Innym razem post zawołał jednego z pracujących więźniów i poszedł z nim za barak. Usłyszeliśmy strzał, po czym post spokojnie wrócił i rozmawiał z kapo. Następnie zawołał drugiego, kazał mu wziąć wiadro i iść po wodę. Woda znajdowała się za granicą, do której wolno nam było chodzić. Po przejściu tej granicy przez więźnia post zastrzelił go. Kiedy kazał drugiemu więźniowi iść po wodę, a ten nie zgodził się, zastrzelił go także. Z początku nie wiedzieliśmy, z jakiego powodu zabijają oni ludzi. Później dowiedzieliśmy się, że każdy SS-man za zastrzelonego w ucieczce więźnia dostaje 60 marek nagrody.

Widziałem to wszystko i równocześnie czułem, że z godziny na godzinę jest z nami gorzej, że tracimy siły i ciało. Po pracy następował apel i udawaliśmy się do wagonów. Rano jechaliśmy 20 min do pracy, a ta sama trasa z powrotem do obozu trwała dwie – trzy godziny. Ponieważ trasą tą jechały transporty wojskowe, musieliśmy nieraz długi czas odczekać, natomiast rano, jadąc do pracy, mieliśmy pierwszeństwo. W wagonie drzwi, a także okna były zamknięte. Nie było czym oddychać, to wyniszczało ludzi więcej niż cała robota.

Tak więc dostaliśmy kolację. Przy rozdzielaniu chleba znowu biją. Raz, pamiętam, pozostała jedna porcja na stole po rozdzieleniu chleba. Sztubowy pyta się: „Kto nie brał chleba?”. Nikt się nie zgłasza. Wreszcie po pół godzinie wyszło na jaw, kto nie brał chleba. Zrobił to ze strachu, choć był tak głodny, wołał nie podchodzić do stołu i nie zaryzykować bicia. Potem naturalnie znowu dostał za to, że nie wziął chleba.

Proszę sobie wyobrazić blok z umywalniami, w którym myło się tysiąc osób. Człowiek szedł do łóżka nieumyty; wstawaliśmy więc w nocy, choć to było zabronione, żeby się umyć.

Przewodniczący: Czy byliście zarośnięci czy ogoleni?

Świadek: Raz w tygodniu nas golono.

Któregoś dnia przychodzi sztubowy i mówi, że łóżka nie były posłane, że był tu blokowy, który zrobił z tego powodu awanturę. I dlatego tylko, że jedno czy dwa łóżka były nieporządnie

poślane, zarządzono przysiadły, a potem kazano wszystkim iść pod łóżka. Proszę sobie wyobrazić, że w takim trzypiętrowym łóżku spało przeciętnie osiem osób. Łóżka te stały koło siebie, tzn., że 16 osób musiało się zmieścić pod dwoma dolnymi łóżkami; co wystawało: ręka, noga, czy głowa było deptane. I trwało to godzinę, czasem dwie. Wreszcie do łóżek. Trudno się ułożyć w trójkę w takim łóżku. Bardzo trudno. Ludzie są zmęczeni, bardzo zdenerwowani, najmniejsza drobnostka, na którą się normalnie nie zwraca uwagi, wywołuje między ludźmi burzę, kłótnie – po prostu – wściekłe psy. To oni zrobili z tych ludzi zwierzęta, ale wściekłe zwierzęta. Leżysz w łóżku, nagle: „Achtung!”. Wchodzi SS-man, naturalnie pijany i zaraz krzyczy: „Alles raus”. Korytarz biegnie przez całą długość bloku. Staje on w połowie korytarza, trzyma pałkę i wszyscy biegiem z jednego kąta na drugi – tam i z powrotem – a kto podchodzi – każdy musi przebiec koło niego – dostaje uderzenie, gdzie popadnie, po twarzy, po głowie, po plecach. Trwa to pół godziny, godzinę – tak długo, aż się SS-man zmęczy. A potem znowu wstawać o 3.00 rano i znowu taki sam straszny dzień. Wieczór muzyka strzałów, rano to samo. Pamiętam, że po tygodniu nasza sztuba, która liczyła 250 osób, skurczyła się do 150 pozostałych przy życiu. To trzeba sobie pomnożyć przez liczbę sztub i bloków. Na 250 osób przeciętnie tygodniowo umierało ze sto. Ale to nie był problem, gdyż ciągle przychodziły transporty i ciągle uzupełniano te braki.

Minął tydzień. Niedziela. W niedzielę Buna nie idzie do roboty. Niedziela jest najgorszym dniem w tygodniu. Rano pobudka, robienie łóżek, kawa. Zaznaczam codziennie wydawano chleb, w sobotę wieczorem wydawano zaś na sobotę i na niedzielę rano. W niedzielę wieczór i w poniedziałek rano nie było chleba, dopiero w poniedziałek wieczór, dlatego niedziela była najbardziej głodnym dniem. Normalnie porządek niedzieli był taki, że trzeba się było przed południem doprowadzić do porządku, to znaczy golić, strzyc, zreperować ubranie. Na bloku było około tysiąca osób. W piwnicy staliśmy wszyscy w rzędzie i czekaliśmy na fryzjerów. Właściwie był tylko jeden fryzjer, ale czasem ogłaszano, że potrzebny jest dodatkowy i wtedy zdarzało się, że umiał, czy nie umiał, ktoś się zgłaszał, ponieważ za to dostawał w nagrodę zupę. W niedzielę apel był w południe. Apel o godz. 12.00 normalnie trwał krótko, gdyż potem był tzw. *Lauseappel*. Przychodzili sanitariusze i lekarze szpitala i sprawdzali każdą koszulę. Wszy były tysiące. Jak człowiek sięgnął ręką za pazuchę, wyciągał całą garść wszy. Nie pomagało mycie, nie pomagało iskanie, gdyż koce były pełne wszy, sanitariusz jednak nie mógł znaleźć wszy i rzecz ciekawa na ogół wszy nie znajdował. Nie, żeby ich nie szukano, ale zanim personel sanitarny doszedł do więźnia, zdążył on zabić wszy, choćby ich nawet było

500. A gdy znaleziono jakąś, co zdołała się ukryć, zapisywano numer więźnia, a potem było bicie i przysiady. A wszy sobie i tak żyły, one się tego nie bały, lecz skutek był taki, że na drugą niedzielę ten sam więzień dokładniej szukał i sanitariusz u niego wszy nie znalazł.

Po apelu miano rozdzielać obiad. Sprawdzano, czy jesteście ogoleni, umyć, czy mamy całe ubranie, czy numer w porządku przyszyty. Zobaczono naderwany numer: uderzenie. – „Nie dostaniesz obiadu”. Do innego mówi: „Twoja głowa nie jest czysta, idź się jeszcze raz umyć”. I ten też nie dostaje obiadu. W ten sposób obiad trwa trzy godziny. Ale czym szyć, czym naprawiać, na sztubie były trzy igły i trochę nici na 250 osób. Wreszcie człowiek dostawał obiad. W niedzielę od godz. 1.00 do 3.00 miał być tzw. *Bettruhe*. Potem trzeba było słać łóżko, a przy tym znowu bicie. Normalnie po południu były dwie – trzy godziny spokoju, można było spacerować po obozie, rozmawiać z kolegami i cieszyć się powietrzem i odpoczynkiem. Niektóre komanda pracowały w niedzielę cały dzień, niektóre pół dnia, a niektóre wcale. Buna nie pracowała w niedzielę.

Pamiętam, jak w jakąś niedzielę wygnano nas z bloku: „Buna antraten”. Wiedziałem, że sprawa jakoś śmierdzi. W niedzielę przed południem Buna do roboty? – coś było nie w porządku. Każą nam zejść do piwnicy, gdzie było kilka tysięcy stołków bez oparcia. Każdy miał wziąć pięć takich stołków i zanieść do Brzezinki o trzy kilometry, biegiem! Pięć taboretów, to nie jest ciężkie, ale zabrać je i utrzymać przez czas dłuższy jest bardzo trudno. Mnie się to nie podobało. A sztuka w lagrze polega na tym, żeby się wykręcić, więc ustawiłem się tam, gdzie ustawiają się chorzy do ambulatorium. Było to niebezpieczne, ponieważ, gdy było za dużo chorych, przychodził *Lagerkapo* z kijem i ich rozcinał. Stałem więc przed ambulatorium. Kiedy szeregi zaczęły się trochę przeredzać, gdyż część już weszła, kapo i blokowi zaczęli się kręcić. No, więc trzeba stąd uciec. Podchodzę tam, gdzie stoi orkiestra, to jest pod blok 24. Lecz są tam jacyś kapo, sztubowy i blokowy – gorąco – myślę – trzeba wracać na własny blok. Tam się jakoś zadekuję. Podchodzę pod blok, pod którym stoi blokowy. Po numerze poznaje, z którego jestem bloku i mówi, że Buna poszła do roboty; chce zapisać mój numer. Zauważył jednak drugiego, który też nie poszedł, zatrzymał go, skorzystałem z zamieszania i uciekłem. Na bloku udaję, że jestem zajęty przy układaniu bielizny. Muszę dodać, że co niedzielę dostawaliśmy świeżą bieliznę, tzn. na 250 osób przychodziło 10–20 kompletów, kilka par butów, kilka par ubrań. Dostawali ci, co przysłużyli się sztubowemu. W tej chwili słyszę, jak otwierają się drzwi i blokowy pyta, co ja tu robię. Więc jednak, że jestem zatrudniony przy robocie, nie przypuszcza, że uciekłem z innej

roboty. Marsz do Brzezinki był znany z tego, że wielu z niego nigdy nie wracało. Jeśli człowiek miał w rękach pięć stołków, to prędzej czy później musiał mu któryś upaść, czy też się wysunąć. A gdy się schylił, ażeby go podnieść, czy poprawić, to wtedy SS-man strzelał.

Druga niedziela. Był to również dzień odpoczynku. W sobotę wieczór wracamy z roboty z Buni i uważamy to za wielkie szczęście, że znajdujemy się w obozie już po godz. 5.00. Jechaliśmy krócej, więc była wielka radość z tego powodu, że człowiek będzie miał trochę więcej czasu, aby się umyć i wyspać. Przychodzimy, a tu tymczasem w lagrze jeszcze jest apel, więc i nam każą stać na apelu. Myślimy: mieliśmy już tam apel, więc nie bardzo dobrze się ustawiamy. Za to w niedzielę rano wzięto nas na pole o godz. 7.00, ustawiono nas w przysiadzie i mieliśmy tak pozostać do 12.00. I rzeczywiście staliśmy tak pięć godzin, aż do apelu, a potem apel. Tak wyglądała druga niedziela. A takich niedziel było wiele.

Oto dlaczego niedziela była najgorszym dniem, gdyż w zwyczajny dzień roboczy wiedziałem, co mnie czeka; ciężka praca, bicie, jazda wagonem, ale wieczorem wrócę i pójdę do łóżka, słowem dzień roboczy nie miał dla mnie tych niespodzianek, jakie gotowała niedziela. Na Bunie pracowałem pięć tygodni.

Trzeba jeszcze wspomnieć o jednym – więzień z dnia na dzień chudł, skutkiem czego występowała opuchlizna nóg.

Przewodniczący: Po ilu tygodniach człowiek stawał się „muzułmanem“?

Świadek: W 1942 r. proces ten trwał do trzech tygodni.

Przewodniczący: Czy pan doszedł do tego stanu?

Świadek: Tak.

Przewodniczący: Czy pan otrzymywał jakieś przesyłki z zewnątrz?

Świadek: Nie, wtedy nie wolno było dostawać paczek. Ludzie bali się iść do szpitala. Dlaczego – to potem opowiem. Jeżeli ktoś był chory, czy miał rany, czy spuchnięte nogi, to kapo brał go do szpitala. Ludzie tego nie chcieli, bo to był wyrok śmierci. Straszna była biegunka: głodowa i infekcyjna. Ale, proszę sobie wyobrazić, że więzień, który miał biegunkę, oddawał stolec 15, 20, 30 razy dziennie. Chory więzień był w wagonie, jechał trzy godziny, a nie potrafił zatrzymać stolca nawet pięć minut. Proszę sobie wyobrazić, że więzień stał

na apelu trzy, a nawet cztery godziny i więcej. Nie wolno było się ruszyć, a jeżeli zabrudził bieliznę czy spodnie i śmierdział, to znowu go bito. Apel. Stoimy na apelu. Normalna scena i jeden zaczyna się chwiać. Ludzie pracowali, chodzili dosłownie do ostatniego atomu energii, a potem załamywali się, padali i więcej już nie wstawali, jak szlachetny koń, który do ostatniej minuty biega, aż mu serce padnie. Tajemnicą wytrzymałości był nieustanny strach: przed SS-manem, przed blokowym, przed drugim mocniejszym więźniem. Stąd pochodziło, że człowiek chodził, pracował, robił wszystko dosłownie do ostatniej sekundy. Buntu nie było. Nie było ducha buntu. Wszyscy byli zupełnie złamani i bierni.

Po kilku dniach pobytu poznałem bliżej naszego sztabowego. Należał on do tzw. porządných sztabowych, bo bił i nie uszkadzał więźniów. Uderzyć w twarz, nawet pięścią, to była rzecz normalna, gorzej było, jeżeli sztabowy bił, żeby zamordować. Ten był młodym chłopcem, miał może 17 czy 18 lat i imponowało mu to, że byłem lekarzem. Rozmawialiśmy parę razy i kiedyś zapytałem, czemu więzień więźnia morduje. Gdy przyjechałem do obozu sądziłem, że znajdę ducha koleżeństwa, że jeden więzień będzie pomagał drugiemu, że znajdą wspólny front przeciwko SS-manom. On mi na to odpowiedział: „Jeżeli chcesz żyć w Oświęcimiu, to musisz zamordować stu innych. Wtedy masz prawo żyć, gdyż tylko ci, którzy mordowali innych, dostają się na dobre posady i mają prawo żyć”. Co prawda okazało się, że największych morderców pozostało bardzo mało. Ale o tym jeszcze powiem później. W każdym razie zasadą obozu było: mordować innych, aby samemu przeżyć. SS-mani nie tylko sami mordowali i niszczyli, ale i oni potrafili nauczyć więźniów nawzajem się zabijać.

Przewodniczący: Jak się przedstawiał przymus gnębienia innych więźniów? Czy dozorca był przymuszony do tego, czy też miał pewien margines swobody?

Świadek: Wyglądało to w ten sposób. Powiedzmy, że stu więźniów pracuje. W ciągu dnia muszą odrobić swoją robotę. Są trzy możliwości: albo wypełnić pensum, albo zrobić mniej, albo zrobić więcej. Zasada była: trzeba stale pracować, nie można ani chwili odpoczywać. SS-mani byli stale obecni przy naszej robocie. Mimo to, jeśli więźniowie zrobili mniej, winien był kapo i *Vorarbeiter* i oni dostawali chłostę lub zabierano im bindę, tzn. opaskę, wykazującą na pełnione funkcje. Jeżeli zrobili pensum, to SS-mani byli zadowoleni, a jeżeli więcej, to kapo dostawał pochwałę. To umacniało jego pozycję. Jeśliby przemawiał do więźnia dobrym słowem, to by go wyrzucili z posady. Musiał więc krzyczeć, ale nie musiał bić, mógł bić, ale nie musiał mordować. Lecz mordował, wyciągał jeszcze więcej, żeby być pewniejszym swego

losu. W tej atmosferze mordu zrobili morderców z samych więźniów. Nie wolno zapominać, że numery od 1 do 30 w pierwszym transporcie w Oświęcimiu to byli niemieccy zbrodniarze; przyjechali oni jako kapo i to oni rozpoczęli tę szkołę morderstwa na rozkaz SS-manów.

Przewodniczący: Czy dozorczy też byli skazani na zagładę, czy też mieli szansę przeżycia?

Świadek: Mieli szansę. Głodni nie byli, gdyż okradali więźniów, pracować nie potrzebowali, więc się nie wyczerpywali, byli dobrze ubrani, mieli możliwość kąpieli. Blokowi i kapo żyli kosztem setek i tysięcy więźniów.

Opowiem taki obrazek: Wracamy z roboty z Buni, człowiek zmęczony i wie, że ma przed sobą jeszcze trzy godziny powrotnej jazdy wagonem. Kapo każe śpiewać. Śpiewaliśmy. Ale ktoś nie bardzo dobrze śpiewał. I za karę w tym wagonie, gdzie nie było miejsca do stania, skąd człowiek wychodził kompletnie przemoczony, jak z kąpieli od potu, kapo kazał przykucnąć w przysiadzie. I jechaliśmy rzeczywiście w tej pozycji. Najgorsze dni – to były dni deszczowe. W dni deszczowe było najwięcej samobójstw. Proszę sobie wyobrazić: człowiek wygłodzony, słaby, źle ubrany. Zaczyna padać deszcz. Stoisz na tym deszczu, stoisz dziesięć godzin, a tu deszcz pada bez przerwy, jesteś zupełnie przemoczony, koszula się lepi na grzbiecie, jest zimno, mokra ziemia przylepia się do łopaty, mokra łopata ślizga się w rękach. Więc człowiek się załamywał, rzucał łopatę i odchodził, żeby dać się zastrzelić.

Przewodniczący: Czy były wypadki masowych samobójstw?

Świadek: Tak, w 1942 r. doszło do tego, że *Oberkapo* Buni przyszedł na wszystkie bloki i sztuby i powiedział: „Teraz będzie dobrze, nie będzie się was bić, dostaniecie więcej do jedzenia; nie chodźcie na druty, nie odchodźcie od pracy, ażeby do was nie strzelano”. Było się jednak bardzo podejrzliwym i dlatego po takiej scenie obawiano się, że teraz właśnie nastąpi coś bardzo złego. Nie stało się jednak nic gorszego ani nic lepszego – wszystko zostało po staremu.

Najgorsze zaś było to, że człowiek był zawsze samotny w tej masie. Twarze tak szybko się zmieniały, ludzie tak szybko umierali, że nie sposób było uchwycić jakąś twarz i poznać ją. Przy pracy trupy, rano na bloku trupy.

W celu zilustrowania tempa pracy opowiem efekt jednego dnia roboczego. Pamiętam, że nasza grupa składała się z siedmiu więźniów, z tego prawie wszyscy to kompletni „muzułmani”. W ciągu ośmiu godzin wykopaliliśmy, załadowaliśmy i wyładowaliśmy 16 lor, podwieźliśmy

je 60 m pod górę, wyładowaliśmy 350 do 450 kg worków cementu i wyładowaliśmy 6000 cegieł. Wszystko to w siódemkę! Ludzie wyczerpani, głodni, zmęczeni i przy ciągłym biciu. Wszystkiego bowiem było mało, ileśmy robili. Przy tym była jeszcze inna sprawa. Cierpieliśmy straszliwe pragnienie. Nie było co pić. Po robocie wody nie było, a to było lato: maj, czerwiec, lipiec. Rano trzęśliśmy się z zimna, czekając na wyjście do roboty, a w południe był taki upał, że nie można było oddychać. I straszliwe pragnienie. Rano miało się dostać pół litra kawy, ale częściej się nie dostało, niż dostało. To samo było wieczorem. Pragnienie było często gorsze niż głód. A ci, którzy napili się wody, umierali w krótkim czasie. Słowem, coś robił albo czegoś nie robił, musiałeś umrzeć i umrzeć szybko. Żyliśmy, pracowaliśmy, spaliśmy z trupami. Którejś nocy zbudzono mnie, gdyż ktoś się powiesił. Odcięto go, żył jeszcze. Rano woła mnie sztubowy i mówi: „Tyś w nocy jednego uratował, który się powiesił”. „Tak, uratowałem go. To był mój obowiązek”. A sztubowy na to: „Czy wiesz, że gdybym ci zrobił meldunek, to byś dostał 25?”. Ponieważ myśmy się znali, skończyło się tylko na tym.

Po godz. 7.00 było po apelu, można było pójść do ambulatorium. Ale Buna wracała tak późno, że już nie można było pójść do ambulatorium, gdyż była już pora na spanie. Kto był chory, nie miał możliwości się leczyć, nie miał możliwości pójść do ambulatorium. Jak radzili sobie więźniowie z biegunką? Gdy mieli szczęście tam pracować, gdzie palono ogniska, rąbali drzewo, spalali na węgiel i ten węgiel jedli. Normalna terapia własna, to była głodówka. Ale jak te dwa dni przegłódował i nie jadł, a potem zjadł węgiel, to te dwa dni tak go wyczerpały, że nie miał już szans wrócić do sił.

Po pięciu tygodniach roboty na Bunie, przyszła nagle na wszystkie bloki, ażeby spisać lekarzy i sanitariuszy. Ponieważ sztubowy mnie znał, więc mnie też zapisał. Nie poszliśmy do roboty, przedstawiono nas niemieckiemu lekarzowi obozowemu i zostaliśmy częściowo przyjęci.

Prokurator Pęczalski: W samym obozie?

Świadek: W samym obozie. Był to szpital dla więźniów. Zanim przejdę do drugiego odcinka, który nazwę szpitalem, chciałbym jeszcze wspomnieć o kilku szczegółach.

Gdy byłem na *Kiesgrube* jeden uciekł. (Były wypadki w Oświęcimiu, że poszczególni ludzie uciekali). Gdy wróciliśmy do obozu na apel, zaczęto go szukać i tak długo jak go szukali, myśmy stali na placu. Godzina 7.00, 8.00, 9.00, 10.00, 11.00, 12.00. Dopiero koło pierwszej puszczono nas na bloki. Były wypadki, że ludzie stali na apelu przez 36 godzin, gdy ktoś

uciekł. Ponieważ ucieczki były coraz częstsze – jakkolwiek ten, który uciekł, miał bardzo małe szanse – doszło do tego, że ogłoszono, iż jeśli ktoś ucieknie z komando, całe komando odpowiada za niego. Pamiętam, jak z jednego komando ktoś uciekł. Komando liczyło 40 osób. Sprowadzono całe komando do obozu i od bramy aż do bloku 11. musieli „rolować”, tzn. tarzać się po ziemi i tak przeszli cały lager. Przed blokiem 11. budowano wtedy drogę, pełno tam było kamyczków i żwiru i tam ich trzymał SS-man przez godzinę. Tam musieli się tarzać tam i nazad, a potem poszli do bunkra. Oprócz tego normalnego bicia więźniów, mordowania, strzelania, były jeszcze specjalne kwiatki. Ci kapo, którzy z krwi innych, dosłownie przestali być ludźmi. Oni po prostu zasmakowali w zbrodni, w znęcaniu się. Był jeden kapo, dekarz (*Dachdecker*), który codziennie ze swego komando dwóch do trzech ludzi zrzucał z dachu. Był inny, który kazał wchodzić na wysokie drzewa i z nich zeskakiwać.

Gdy w obozie robiono szosę, to po założeniu kamyczków i żwiru, trzeba było ubić drogę walcem. Państwo znacie taki walec, poruszany normalnie motorem. Tu walec ciągnęli ludzie. Komando liczyło około stu osób. Z tego na sto ludzi dziennie 60 ginęło. Winien temu był bezpośrednio kapo.

Prokurator Pęczalski: W jaki sposób? Czy źle się z nimi obchodził?

Świadek: Bardzo źle. On ich wykańczał. Bardzo się znęcano również nad księżmi. Wśród nich było masę ofiar.

Prokurator Pęczalski: Obojętne – katolicy czy protestanci?

Świadek: Obojętne. Jak się wchodzi do obozu, jest napis: „Arbeit macht Frei”. Dalej znajduje się ulica, gdzie jest pięć [?] figurek: SS-man, który prowadzi księdza, Żyda i takiego brzuchatego cywila.

Prokurator Pęczalski: Czy wszystko to, co pan mówi, odnosi się do 1942 r.?

Świadek: Do lat 1942, 1943 i 1944 – przez cały czas było to samo. Różnica była taka, że jeżeli początkowo selekcje przeprowadzano raz w tygodniu, to potem co dwa, czy co trzy tygodnie. Było jedno komando, które nazywało się *Holzhof*. Tam robota była lżejsza przy drzewie i przy deskach. Ludzie starsi czy słabsi szli na *Holzhof*. Bardzo „kulturalne” urządzenie niemieckie. W czasie selekcji wszystkie inne komanda, które wracały z roboty, były kontrolowane. Wszystkie rozbierały się do połowy i sprawdzano: jeśli ktoś był chudy, słaby lub miał rany na

nogach, to zapisywano numery i brano do gazu. Jeżeli Niemiec więźniowi w czymś pomógł – co mówię pomógł – ulżył mu, to była to droga, która prowadziła do gazu. *Holzofu* nie sprawdzano, wszystkich brano do gazu.

Specjalnym rozdziałem była orkiestra obozowa, składająca się z więźniów, orkiestra dęta, która grała rano i wieczorem przy wyjściu do roboty i podczas powrotu z roboty. Wracaliśmy z trupami. Trupy trzeba było przynieść z sobą. Do roboty szło się i wracało z niej piątkami. Jeżeli był trup, to czterech brało go na plecy i znowu była piątka, którą można było liczyć. Wracało się przy dźwiękach orkiestry, która grała różne piękne piosenki, jak np.: „Jakie życie jest wesołe”. Na apelu układało się trupy. Początkowo, gdy przychodziły transporty, nie było tak dużo trupów. W pierwszym tygodniu były np. dwa, potem dziesięć, potem 40 i tak szło. Już w 1943 r. z mojego transportu, tj. z tysiąca osób, pozostało tylko trzech przy życiu. Dopiero w 1943 r. miałem możliwość dowiedzieć się o tym. Jeżeli chodzi o liczby, to panujące stosunki najlepiej odzwierciedlił fakt, że z numerów od 1 – 100 tys. w 1944 r. pozostało przy życiu tylko 2000. Ten odsetek, który pozostał, przetrwał dlatego, że mieli dobre posady.

A więc dostałem się do szpitala. I to był pierwszy dzień, w którym zaczęło się we mnie tworzyć przekonanie, że może jednak przeżyję. Praca, którą miałem dostać obecnie, była związana ze wspomnieniami z wolności. I człowiek myślał, że tam, w tym szpitalu, zacznie znowu być człowiekiem.

Posłanka Boguszewska: Kiedy dostał się pan do szpitala?

Świadek: Było to pod koniec czerwca 1942 r. Przyszedłem do szpitala, przebrano mnie, wykąpano, dostałem ubranie z białego płótna, wprawdzie mocno połatane, ale czyste. Zaprowadzono mnie do pracy. I co się okazało. Okazało się, że szpital jest dalszym ogniwem w łańcuchu wyniszczenia ludzi w lagrze, tylko pod innym płaszczykiem. Okazało się, że te same stosunki, które panowały między więźniami w obozie, panują i w szpitalu. (Nie mówię o chorych, tylko o tych, co pracowali w szpitalu: lekarzach i sanitariuszach).

Prokurator Pęchalski: Czy przydzielono pana w charakterze lekarza?

Świadek: Chwileczkę. Ludzie ci bali się oczywiście o swoją posadę. Bali się, że mogą tę posadę stracić. A więc z jednej strony robili wszystko, żeby przypodobać się SS-manom, z drugiej strony starali się zniszczyć konkurencję, która by ich wypchnęła z tych posad.

Gdy przyszedłem do szpitala, było tam bardzo mało lekarzy. Byli tam przede wszystkim sanitariusze, przeważnie tacy, którzy przedtem nie mieli nic wspólnego z tym zawodem, a tu się czegoś nauczyli i uważali się za wielkich profesorów. W łagrze było tak: jak była szansa otrzymania jakiejś pracy pod dachem, to każdy wszystko umiał. Na przykład szukano stolarza. Praca pod dachem, więc każdy się zgłaszał. Szukano szewca – praca pod dachem, więc znów znajdowali się tacy, którzy mówili, że są szwecami, chociażby mieli o tym bardzo słabe pojęcie. Jeśli jednak dostał się do warsztatu, a miał szczęście znaleźć człowieka porządnego, który mu pomógł, to udawał szewca czy stolarza, nauczył się i żył.

Prokurator Pęczalski: Czy była możliwość otrzymywania gazet?

Świadek: Przychodziły gazety niemieckie. Prawo prenumeraty mieli aryjczycy, z wyjątkiem Rosjan. Prenumerować mogli tylko ci, którzy mieli pieniądze, tzn. mieli swoje konta. Można było otrzymywać pieniądze z domu, wypłacano przeciętnie z początku 10, potem 20, potem 40 marek miesięcznie, w postaci bonów i z tego można było opłacić prenumeraty gazety. Za te bony można było kupić w kantynie papierosy, tytoń, wodę sodową, papier higieniczny. Do jedzenia były tylko różne sałatki z buraków. Ale te sałatki jadło się tylko raz – więcej nie. Sałatka była przegniła i ludzie dostawali potem biegunki. Ceny były horrendalne, flaszka wody mineralnej kosztowała pół marki, 20 fenigów [trzeba było zapłacić] za wodę, a 30 – za flaszkę.

Prokurator Pęczalski: Wróćmy do okresu, kiedy pan doktor przyszedł do szpitala, bo to była dygresja.

Świadek: Niemcy nie uznawali więźnia lekarza. Dano mi tytuł *Pflegera*. Udało mi się od razu dostać sztubę. Na wielkiej sali szpitalnej, gdzie było przeciętnie od 250 do 350 więźniów chorych, znajdowały się trzypiętrowe łóżka, w każdym z nich leżało dwóch – czterech chorych. Sala ta dzieliła się na cztery części. Każda z tych części nazywała się sztubą. Funkcje *Pflegera* były następujące: rano wstawaliśmy przed gongiem; w lecie gong był o godz. 4.30. W bloku 21. nie było umywalni. Musieliśmy wszystkich chorych tak latem, jak i zimą w samych kalesonach gnać do kąpieli, bo umywalnie znajdowały się w innym bloku. Ręczników nie dawano, chorzy nieraz z wysoką gorączką musieli wracać mokrzy do sali. Po kąpieli zamiatiałem sztubę, szorowałem kamienną podłogę tak, że musiała się błyszczeć, porządkowałem łóżka, wynosiłem cały dzień kubły, zasypywałem chlorkiem, ponieważ w bloku nie było klozetu. Musiałem czyścić i myć okna. Na sali musiał panować niemiecki porządek. Pod łóżkami nie

mogło być nawet słomki. Sienniki były stare, nie było w nich słomy, tylko sieczka, która za każdym poruszeniem chorego sypała się na podłogę. Prześcieradeł nie zmieniano miesiącami. Powalane były ropą, krwią, wydzielinami, były wszy, pchły, ale podłoga musiała być czysta.

Potem szedłem po kawę. Trzeba było rozdzielić śniadanie. Wkrótce zaczynały się opatrunki. Odbywały się one dwa razy w tygodniu od godziny 8.00 do 12.00 w ambulansie, znajdującym się na sali. Były to same ciężkie wypadki. Opatrywaliśmy 300–350 chorych w ośmiu – dziesięciu ludzi. Wśród nich byli tacy, którzy dopiero się nauczyli w szpitalu robić opatrunki. Część z nich pracowała dobrze i byli to porządni ludzie, lecz jeżeli w ciągu czterech godzin robiło się 350 opatrunków, to można sobie wyobrazić, jak to wyglądało.

W południe szliśmy po obiad, trzeba było stulitrowe beczki z zupą wnosić na pierwsze piętro i rozdzielać.

Nieszczęście było, jak słomka znowu znalazła się pod łóżkiem. Cały dzień trzeba było stać i zmiatać. Wszyscy *Pflegerzy* z wyjątkiem naczelnych lekarzy musieli wykonywać te prace, nosić beczki z zupą, po obiedzie przynosić chleb we dwójkę na tradze, na której było 150 bochenków. Miałem wtedy chorą nogę, spuchniętą w goleniu od uderzenia łopatą w komando pracy. Położyć się nie było wolno, musiałem pracować, gdyż mogli mnie wyrzucić na lager. Byliśmy dla innych konkurencją, gdyż byliśmy lekarzami. Gdy rozdzieliliśmy chleb, szliśmy po kawę na kolację i musieliśmy ciągle sprzątać. Wszystko to odbywało się z krzykiem, biciem i pośpiechem tak, jak na lagrze. Nie było to jednak takie brutalne bicie, jak na lagrze, chciano nas raczej zniszczyć moralnie. Apel, trwający bardzo krótko, bo pięć minut, mieliśmy w bloku, nie na placu. Wieczorem drugi apel, po nim brano nas do roboty na blok 28., do ładowania trupów. Trupiarnia znajdowała się w bloku 28. Dziennie było tam 15–250 trupów. Był to tzw. naturalny odsetek śmiertelności w lagrze. Ładowaliśmy trupy na samochód lub wóz, który odwoził je potem do krematorium. Dwóch ludzi chwyciło trupa, jeden za ręce, drugi za nogi, rozhuśtywało i rzucało na wóz. W krematorium każdy dostawał rzemyk, przywiązywał go do ręki trupa i ciągnął go po posadzce kamiennej. Układano trupy rzędem i tam już je spalano.

Często brano nas też w ciągu dnia do wyładowywania wagonów z bandażami, ligniną i chlorkiem.

Ponieważ Buna nie chodziła na opatrunki, dwóch *Pflegerów* musiało tam pracować. Gdy więźniowie szli do roboty, bandaże zrywały się po dwóch godzinach i musieli pracować

z otwartymi ranami. Najgorsze były rany na nogach, kosztowało to tysiące istnień ludzkich. Gorączka musiała być zapisana, lekarstwa notowane, wszystko to pięknym, czytelnym pismem, równo, karta musiała być czysta, tak jak podłoga. Chory był nieważny.

Tak mniej więcej wyglądał dzień pracy *Pflegera*.

Teoretycznie można było pozostać w szpitalu aż do wyzdrowienia, praktycznie jednak sprawa wyglądała inaczej. Co tydzień, w poniedziałek, przychodził lekarz SS lub sanitariusz, SS-man, który był naczelnikiem bloku, na salę. Wszyscy chorzy musieli wstać, rozebrać się do naga, każdy dostawał do ręki kartę choroby, podchodził do lekarza, który odbierał te karty i kładł na stole jedne po jednej, drugie po drugiej stronie. Była to selekcja. Odbywało się to w poniedziałek. Do gazu brali w czwartek i w piątek. Jak się później dowiedziałem, lista kandydatów do gazu szła do Berlina do potwierdzenia. Chorych, idących do gazu, ubierano, dostawali buty, zakładane przy wielkich ropieniach szyny zdejmowano. Ładowano ich do auta, jak śledzie do beczki.auta te miały urządzenia do podnoszenia platformy tak, że żywcem ludzi wsypywano do krematorium. Ludzie łamali ręce i nogi.

Prokurator Pęchalski: Czy prawdą jest, że chorych z Bunu trzymano tylko 14 dni w szpitalu, a po tym czasie szli do gazu.

Świadek: Fakt 14 dni nie jest mi znany, jednak tylko czas decydował o dostaniu się do komór gazowych. Nowi więźniowie zwani „młodymi numerami” albo „milionowcami” nie wiedzieli i nie wierzyli w to, że idą do gazu. Ludzie zwracali się do mnie z zapytaniem. Pewien nowo przybyły więzień mówił mi, że gdy przywieziono go do Oświęcimia, powiedziano mu, że może zobaczyć się ze swoją żoną, która znajdowała się też w obozie. Dotychczas tego widzenia nie dostał i pytał się mnie, czy to jest prawdą. Nie mogłem odpowiedzieć mu, że została ona zagazowana, powiedziałem mu jednak, że widzeń nie ma, niech nie czeka. Wkrótce człowiek ten też podczas selekcji został przeznaczony do gazu.

Jeśli ktoś miał złamanie ramienia i dostawał szynę, to oznaczony zostawał podczas selekcji jako nieużyteczny, do gazu.

Gazowania odbywały się w Birkenau. Czasem *Lagerarzt* SS dostawał rozkaz, by przysłać ze szpitala 600 ludzi w celu wypełnienia komory. Lekarz chodził po blokach i z każdego wybierał 150 ludzi. Jeżeli wzięto ze szpitala sto osób, to wówczas wypisywano karty zgonu w jednym dniu, jeżeli ponad sto, to rozdzielano: np. jednego dnia wzięto 200 osób, a stan chorych

wynosił 2150, to w następnym dniu podawano stan 2100, aż do wyrównania. Na kartach choroby przeznaczonych do gazu pisano „SB” (*Sonderbehandlung*), w kartotece normalnie było napisane atak serca. Zabrzanych przy selekcji znaczone – *uberstellt nach Birkenau*.

W lipcu 1942 r. poszedłem do bloku 18. i ujrzałem tam same nowe twarze i numery. Przed dwoma dniami byli tam jeszcze starzy więźniowie, „muzułmani”. Okazało się, że z tego bloku wzięto ok. 500 najstarszych więźniów, zamknięto ich w piwnicy bloku 18. i trzymano około dwóch tygodni. Chleba nie dostawano. Trochę zupy, rzadko coś do picia. Po dwóch tygodniach wyszło z piwnicy na własnych nogach trzydziestu kilku więźniów, którzy także po kilku dniach umarli. Twierdzono, że nie nadawali się oni do pracy, a blokowi i SS zrobili na tym świetny interes, gdyż dostawali ich porcje przez całe dwa tygodnie. Nawet w szpitalu meldowali zmarłych dwa dni później, korzystając, że ich porcja zbywała.

Na porządku dziennym było bicie chorych. Niemcy twierdzili, że silny ma prawo żyć dwa miesiące, jeśli dłużej żyje, tzn., że kradnie.

O godz. 9.00 udawaliśmy się do łóżka, wstawałem o 4.00. Był to jedyny czas, w którym miałem spokój. W szpitalu pozostałem do końca pobytu w Oświęcimiu. Byłem ciągle chory i z mojej pracy byli niezadowoleni. W 1942 r. rzadko się zdarzało, żeby chory opuścił szpital żywy.

Żeby opisać atmosferę w szpitalu, muszę przytoczyć wiele szczegółów.

Zastanowić się należy, kim byli ci ludzie, którzy powinni byli dać więźniom choć trochę serca, uczucia, miłości i siły do przetrwania tego okresu.

Szpital miał swoją autonomię, szefem szpitala był *Lagerarzt SS*, który podlegał *Standartarztowi*. W 1942 r. był tam jeden *Lageraltester* – homoseksualista. Blokowym na bloku 21. był Niemiec – homoseksualista i morfinista, który siedział już w ośmiu – dziesięciu więzieniach. Na bloku było kilku, trzech albo czterech młodych chłopców w wieku 18–20 lat. Żyli oni z tym Niemcem i ze starszym obozu. Trzęśli oni całym blokiem. Nie spodobać się takiemu chłopcu oznaczało śmierć. Ci najbardziej zatruwali nam życie, tak sanitariuszom, jak i chorym. Jeden z nich chodził z deską i dla zabawy bił chorych tak, że jednemu z nich złamał tym biciem rękę. Ludzie byli zupełnie zepsuci tym otoczeniem i mordowaniem *en gros*. Tacy ludzie mieli leczyć chorych.

Cała nasza robota w szpitalu była problematyczna i nie miała sensu. Nie było prawie żadnych możliwości. Chorzy szli do gazu. Ludzie mieli cedemy, najmniejsze zadrażnienie powodowało

infekcję, a z powodu osłabienia następował szybki jej postęp. Zdarzały się flegmony podudzia, po których powstawały dziury wielkości pięści, nie było szansy wyleczenia.

Tam, w tym bagnie, było paru porządnych ludzi – świetlane postacie – którzy robili, co mogli, by ulżyć i pomóc chorym.

Tak w szpitalu, jak i w obozie chorzy dostawali w 1942 r. normalną porcję żywności. Zastępca komendanta sali rozdzielał jednak tak jedzenie, że obcinał porcję chleba, paczki margaryny, przeznaczonej na 12 porcji, rozdzielał 18, zupę rozdzielał tak, że na każdego zamiast jednego litra wypadało trzy czwarte litra. Było to o 25 proc. mniej. Sala liczyła 350 ludzi, z których 30 było sanitariuszami. Znajdowało się tam ok. 70 aryjczyków, reszta chorych byli to Żydzi, których przeciętnie było ok. 250. Zastępca komendanta sali odznaczał się szczególną nienawiścią do Żydów. Obcinane przez niego porcje oddawał aryjczykom, którzy sprzedawali zupę, a nawet łupiny z kartofli z margaryną.

Byłem chory, miałem spuchniętą nogę i musiałem leżeć w łóżku około czterech tygodni, naturalnie za protekcją. Przyszła wielka selekcja. Leżałem wtedy z nogą w szynie, w łóżku obok mnie – prof. Bloch, chirurg z Paryża. Pracował on jako *Pfleger*, był to człowiek stary, znany w całej Francji. Nie mogłem wstać, tak jak i on. Każdemu wybranemu do gazu, pisano ołówkiem kopiowym numer na piersiach. Wiedzieliśmy obaj, co to znaczy. Inni chorzy nie rozumieli, co to jest. Mówiono, że ciężko chorzy idą do wielkiego szpitala w Birkenau. Z rana napisano nam numer, po obiedzie zdjęto nam szynę i zszedłem sam o własnych siłach na podwórze, gdzie wraz z prof. Blochem czekaliśmy na śmierć. Profesor był spokojny, opanowany. Był Żydem i gdy we Francji wyszła ustawa o noszeniu gwiazdy żydowskiej, ubrał on oznakę, a nad nią umieścił wszystkie oznaki i medale, jakie dostał we Francji i za to dostał się do Oświęcimia.

Było tylko jedno auto do wożenia chorych tak, że musieliśmy długo czekać na naszą kolej. Dwa tygodnie przedtem zachorował nasz *Lageraltester*, którego profesor był konsylientem [konsyliarzem]. Chciałem się ratować. Podeszedłem do naszego lekarza, jednak ten skrzyczał mnie tylko. Zawołałem jednego z sanitariuszy i prosiłem go, by szedł do *Lageraltester* i powiedział mu, że profesor Bloch jest w transporcie. *Lageraltester*, gdy to usłyszał, kazał natychmiast wyciągnąć dekarzy z transportu. Była kolej na naszą grupę. Ustawiliśmy się już i szliśmy do auta. Wtem wywołano nasze numery i wycofano nas z transportu. Jedna chwila, a byłoby za późno. W tydzień później odbyła się jeszcze większa selekcja. Wszystkich

chorych wyprowadzono nago na ulicę lagrową i zaczęto sprawdzać. Po skończeniu ustawiono nas po pięciu i wywoływano numery. Z 250 chorych, znajdujących się na naszej sali, wywołano 30 kilka numerów, a w tym i mój. Kazano nam powrócić do bloku, inni pozostali na podwórzu, wśród nich znajdował się prof. Bloch. Szli oni w stronę krematorium, a prof. Bloch oglądając się, uśmiechnął do mnie, kiwnął mi ręką, miał on bowiem tyle hartu ducha, że idąc na śmierć, dodawał mi otuchy. Poszli do gazu.

Niemcom udało się wyciągnąć z ludzi to, co najgorsze, co najniższe, co najpodlejsze. Zdołali zbudzić i rozpętać wszystkie najniższe i najgorsze instynkty i potrafili tymi instynktami posługiwać się dla swoich interesów. Chodziło im o wyciągnięcie maksimum energii z każdego więźnia, zniszczenie go w celu zaoszczędzenia swoich ludzi z jednej strony, dla pewniejszego trzymywania tej masy w rękę z drugiej strony. Znaleźli sobie wielu pomocników wśród więzionych i zaszczepiając nienawiść, rozbijali tych więźniów na różne grupy i umacniali swoją władzę. Jednym z tych środków była nienawiść narodowa. Nie tylko narodowa, ale i nienawiść po prostu regionalna. Ślązak uważa za święty obowiązek niszczyć, mordować i męczyć więźnia z Małopolski, warszawianin lwowianina itd., Niemiec – wszystkich. Siali nienawiść między Polakami, Żydami, Francuzami, siali nienawiść między jednym człowiekiem, a drugim i skutek był taki, że Niemiec bił Niemca, Żyd bił Żyda, Polak bił Polaka, nie tylko bili, ale także mordowali. Wspominałem już o nienawiści narodowej i przypominam sobie teraz tą pierwszą salę na bloku 21., w szpitalu, gdzie było utworzone getto żydowskie z jednej strony, a z drugiej strony były sztuby aryjskie. Tam mogliśmy obserwować z całą dokładnością.

Posłanka Boguszewska: W którym roku?

Świadek: W 1942 r. Podział ten istniał również w latach 1943 i 1944 i był następujący: były *Reichsdeutsche-Stuby* tzn. części dla Niemców, dalej żydowskie sztuby i sztuby aryjskie. Wśród więźniów znaleźli bardzo wiernych sługusów, którzy to samo robili, tak samo im pomagali, tak samo bili i mordowali i tak samo wysyłali do gazu. Na sali I komendantem był Polak z Warszawy, nazywał się Czesiek Soból, człowiek na wskroś prawy, człowiek, który został człowiekiem. On przyszedł do Auschwitz z pierwszym transportem, według najstarszych numerów, [był] znany w całym obozie i lubiany.

Prok. Pęchalski: Z jakiej warstwy?

Świadek: Przed wojną był członkiem policji państwowej. Jeśli się nie mylę, to pracował w służbie bezpieczeństwa w Warszawie. Takich rzeczy nie wolno było opowiadać w obozie,

bo zwłaszcza policjanci byli bardzo znienawidzeni. Zdarzało się, że więźniowie zabijali policjanta w ciągu 24 godzin [od jego przybycia do obozu]. Był on zdaje się oficerem służby bezpieczeństwa, dokładnie nie wiem. Coś mi kiedyś o tym opowiadał i oczywiście powiedziałem, że nikomu nie powiem, że zachowam dyskrecję. Jego zastępca nazywał się Król z Krakowa. Zupełne przeciwieństwo tamtego. Człowiek, który okradał chorych i robił na tym interes, obcinając, jak opowiadałem, porcje chleba. Chleb, który mu zostawał, sprzedawał lub wymieniał, obcinał margarynę do dwie trzecie porcji normalnej. Jeżeli obliczyć 250 do 300 chorych na sali – to ile to wyniesie! To samo robił z zupą, kartoflami i ze wszystkim. Na bloku tym widzieliśmy tych młodych chłopców, którzy trzymali władzę dzięki temu, że żyli z blokowym czy też ze starszym z lagru, gdzie modne było bicie, głodzenie, posyłanie do gazu. W takich warunkach się żyło, trzeba było pracować jako lekarz i chciałoby się pracować jako lekarz. Przed południem skończyłem z tą dużą selekcją. W krótkim czasie po tym, wybuchła w lagrze wielka epidemia tyfusu plamistego. Było mnóstwo wszy i ludzie umierali tysiącami. Umierali szybko, bo na bloku 20. był oddział chorób zakaźnych i kierowano tam chorych na tyfus plamisty. Większość, a przede wszystkim Żydów, po przybyciu do szpitala w jeden do dwóch dni szprycowano albo, jak nazwano, dawano szpyłe, tzn. dosercowy zastrzyk fenolu. Było to robione w ten sposób, że *Unterscharführer* Kler [Klehr], SS-man w rękawiczkach, w fartuchu, dwóch więźniów, którzy trzymali delikwenta, sadzali go na fotelu podobnym do dentystycznego – i długą igłą sześć kubików fenolu wstrzykiwali. Śmierć następowała po pięciu do ośmiu sekund. W lewej części bloku szprycowano.

Więzień wstawał, jeszcze żył, przechodził przez korytarz, zataczając się do przeciwnej sztuby, i tam padał. Leżały tam całe stosy [trupów]. Było to praktyczne, bo nie trzeba było przenosić z jednej sztuby do drugiej. On sam tam przeszedł. Nie tylko SS-mani szprycowali, ale również szprycowali również więźniowie, i to na ochotnika. Na bloku 20. był zastępca blokowego, nazywał się Pańszczyk. I on też szprycował, ale to mu nie wystarczało. Nie codziennie się to odbywało. W taki dzień bez „pracy” między godz. 10.30 a 11.00 w nocy wszyscy chowali się na bloku (każdy, kto już Pańszczyka znał). Pańszczyk chodził po bloku i szukał ofiary, i co wieczór musiał jednego znaleźć, żeby go własnoręcznie zdusić – inaczej nie poszedł spać. Oczywiście, że żył on w jak najlepszej komitywie z Klehrem i innymi SS-manami. Gdy mu się ktoś nie podobał, to po prostu szedł do Klehra, dostawał karteczkę i szprycował go bez różnicy, kto to był – lekarz, sanitariusz czy chory. Pańszczyk nie był lekarzem, lecz sanitariuszem, robił jednak operacje, lekarz zaś nosił chorego do ambulansu i z ambulansu go zabierał. Trząśł całym blokiem 20.

Prokurator Pęczalski: Co się stało z Pańszczykiem?

Świadek: Poszedł w 1943 r. do transportu. Wiosną były pierwsze wielkie transporty aryjczyków w głąb Niemiec i z takim transportem on poszedł.

Prokurator Pęczalski: I co się z nim stało, nie wie Pan?

Świadek: Więźniowie zabili go w czasie transportu. Właśnie takich zdrajców, takich kapusiów, więźniowie przy pierwszej okazji zabijali, a okazja nadarzyła się w czasie transportu. Potem, gdy już transporty były częstsze – grozili więźniowie – „Czekaj, pójdziemy na transport”.

Przewodniczący: Czy wypadki wstrzykiwania fenolu, o których pan opowiadał, widział pan osobiście?

Świadek: Nie. Wiem o tym z opowiadania jednego ze współwięźniów.

Przewodniczący: Na podstawie bardzo wielu relacji?

Świadek: Tak.

Przewodniczący: Czy, jak chory przechodził, podtrzymywano go?

Świadek: Popychano.

Przewodniczący: A jak wchodził na zastrzyk, czy wiedział, co to znaczy?

Świadek: Niektórzy wiedzieli, niektórzy nie, ale nie bronili się. Byli tak słabi, że nie mogli się bronić, mieli wysoką gorączkę, 40 do 41 stopni, bo najczęściej byli to chorzy na tyfus. Gdyby nawet chcieli się bronić, to chwymano ich za ramię i ubezwładniano. W 1942 r. szprycowano także umyślowo chorych.

Posłanka Boguszewska: Tam w obozie czy w szpitalu?

Świadek: W obozie. Drugim podobnym do Pańszczyka typem był blokowy bloku 28. – Stosel. Wiedziałem, co się z Pańszczykiem stało, bo byłem tym osobiście zainteresowany; miałem z nim i kilkoma innymi ludźmi osobiste scysje. Ciekawe, że prawie wszyscy oni nie żyją, a ja ciągle żyję.

U nas nie było kąpeli. W naszym bloku dopiero potem zrobiono potrzebne urządzenie i kąpaliśmy się, i chorzy też się myli. Kiedyś, jak opowiadałem, miałem ranę na nodze. Kiedy

się kąpałem, wszedł jeden więzień. Jak widziałem z jego zachowania jakaś osobistość wśród więźniów. Patrzy na mnie i mówi: „Po co się męczysz – i tak umrzesz, z tą nogą nie wytrzymasz”. Przyjdź do mnie po południu z porcją chleba, to cię zaszprycuję. A zresztą zrobię ci to za pół porcji chleba”. I to mówił całkiem poważnie, nie uświadamiał sobie tego, co mówił. Rozumiałem, że sytuacja jest gorąca. Byłem namydlony, stałem pod tuszem, szybko wytarłem się i nie czekając długo, chciałem wdziać ubranie i zniknąć. „Co, niemyty jesteś? – pod tusz!” – i puścił zimną wodę, stałem 15 min pod tuszem i czekałem. Zaczęła się zabawa. To, że spokojnie stałem, widocznie mu zaimponowało, zobaczył, że nie bałem się wody – i puścił mnie. Powiedział tylko: „Po obiedzie przyjdź”. Człowiek nagi inaczej wygląda niż ubrany, miałem więc nadzieję, że mnie nie pozna.

Drugi taki był Stosel. On był blokowym na bloku 28. tego szpitala. Były cztery bloki szpitalne: 19., 20., 21. i 28. Przez pewien czas były tylko trzy, bez 19. W 1943 r. utworzono jeszcze blok 9. tak, że było pięć bloków szpitalnych, a Stosel był blokowym bloku 28.

Posłanka Boguszewska: Jakiej był narodowości?

Świadek: Pół Niemiec, pół Polak. Mieszaniec. W lagrze był jako reichsdeutsch. Blokowy bloku 28., który był ambulansem. Tam odbywały się opatrunki, przyjmowanie chorych tzw. *Aufnahme*. Stosel też szprycował, też posyłał do gazu. Wybierał ludzi do tego gazu i szprycowania spośród świeżo przyjętych. Miałem ze Stoslem też poważniejszą scysję i też wyszedłem cało. U Stosła znaleziono złoto, wzięto go do bunkra na blok 11. i tam go wykończono.

Posłanka Boguszewska: SS-mani go wykończyli?

Świadek: Tak, tak. Byli i lekarze, którzy się takimi rzeczami zajmowali, szprycowali i wysyłali do gazu.

Obywatelka Nałkowska: Czy tylko Niemcy?

Świadek: Nie tylko Niemcy, również lekarze więźniowie. W zasadzie był u nas przez cały czas lekarz więzienny niemiecki tylko jeden, wszyscy inni to byli właściwie volksdeutsche. Jeżeli mowa o osobach, to należałoby wspomnieć jeszcze o tych małych chłopcach z bloku 20., którzy broili i znęcali się, uznając to wszystko po prostu za dobrą zabawę. Jak już mówiłem, panowała wówczas epidemia tyfusu plamistego, która kosztowała tysiące

ofiar. Wobec tego *Lagerkommando* postanowiło zrobić wielkie odwszenie obozu. Panowie, zdaje się, znają plan obozu w Oświęcimiu. Są tam trzy rzędy domów, oddalone od siebie o 20 m, jeden od drugiego. Jeden rząd od 1. do 11.. Drugi rząd równoległy od 12. do 21. i trzeci rząd od 22. do 28.

Posłanka Boguszewska: Czy bloki były murowane?

Świadek: Tak. Bloki od 1. Do 11. były w 1942 r. zamieszkane przez kobiety. Rząd ten był oddzielony od reszty lagru kolczastym drutem elektrycznym. Dwa następne rzędy bloków były zamieszkałe przez mężczyzn. Podczas odwszenia posłano kobiety do Birkenau i blok za blokiem dezynfekowano. Ludzi przede wszystkim przebierano. Słabych z ranami wysyłano do Birkenau. Zdrowych myto, kąpano, golono i dawano na bloki od 1. do 10. (11. nie). Stare puste bloki gazowano specjalnym gazem. Wtedy połowa więźniów poszła do Birkenau, tzn. na śmierć. Potem na samym końcu zrobiono odwszenie szpitali. Cały blok 20. poszedł do gazu, większa część bloku 21., większa część 28. i większa część 19., tak że po odwszeniu na bloku 20. nikt nie został, na 28. pozostała część i na 19. część więźniów. Podczas odwszenia zanesiono resztę chorych na blok 19., gdyż wszystkich kąpano pod tuszem. Niejednego chorego wzięliśmy do kąpieli na tragach, bo nie mógł się ruszać i podczas kąpania umierał. Były takie wypadki, że chory z wysoką gorączką nie wytrzymał drogi, która wynosiła w sumie sto metrów. Były sceny, że chory był w agonii – umierał – i odzywał się komendant: „Tego nie ruszać, on i tak umrze” – i ten chory konał dwa dni i tam leżał. Po przeniesieniu chorych, myśmy sprząkali blok, czyścili i po tym blok gazowano.

Podczas czyszczenia bloku miałem scysje z Stoslem. Nienawidził Żydów. Podchodzi więc do mnie – miałem źle przyszyty numer, bośmy dostali nowe ubrania, a w pośpiechu nie miałem czasu przyszyć porządnie numeru – i przede wszystkim widzi, że jestem Żydem. „A to na ciebie czekałem” – i zaczyna mnie obrabiać. Dwóch stoi obok i jeśli bym podniósł rękę, to mnie wykończy. Tak długo mnie obrabiał, aż upadłem; jak upadłem, to podniósł mnie nogami i ta zabawa trwała około pół godziny. Powiedział: „Na dzisiaj dosyć, jutro dalszy ciąg”. Położyłem się do łóżka, miałem buty pełne krwi i to mnie uratowało, bo w następnym dniu mnie nie znalazł. Po tym, jak był blok znów w porządku, wzięli naszych chorych z powrotem na blok 21. i znowu leżałem przez jakieś dwa tygodnie i znowu wstawałem, bo długo nie można było leżeć. Zacząłem jednak pracować – oczywiście nie mogłem zadowolić wymagań, jakie mi stawiano, i skutek był taki, że z końcem listopada skreślono mnie z listy sanitariuszy i odesłano

do obozu do normalnej pracy. Blokowy, pisarz tamtejszy, miał do mnie – nie wiem dlaczego – pewną sympatię. Był to Polak z Warszawy, dr Kowalewski. Mówi on do mnie: „Poczekaj, ty nie pójdziesz, kładź się do łóżka jako chory”. Położyłem się do łóżka, wypisał mi nową kartę – a wiedziałem, że jeżeli pójde z taką nogą na lager, to mam prawo żyć najwyżej dziesięć dni.

Przeżyłem na własnej skórze, jak cierpieli chorzy w szpitalu. Leżałem w łóżku trzy miesiące. (Zdaje się, że nie ma drugiego takiego Żyda, który by leżał tak długo w łóżku w tym czasie.) Cały dzień w łóżku, brudny, prześcieradło czarne od krwi i ropy, na którym leżało X poprzedników. Rano, bosą nogą, przez to podwórze, przez śnieg – do mycia, z powrotem człowiek mokry bez ręcznika. W łóżku leżało po trzech chorych, łóżko 75 cm szerokie, 2 m długie, każdy okryty ranami albo mający jakiś ciężki ropień, gdzie najmniejsze poruszenie wywoływało ogromny ból. Straszny głód, bicia, opatrunki teoretycznie dwa razy na tydzień, praktycznie raz na tydzień, nawet raz na dziesięć dni. Jeśli sala liczyła 250 osób, to najczęściej ostatnie łóżka opuszczano bez opatrunku, bo panowie zmęczeni się już – zdarzało się to bardzo często. Proszę sobie wyobrazić – duża sala bloku, w środku jest przejście. Z jednej strony szereg łóżek, nie są to właściwe łóżka, tylko trzypiętrowe prycze, normalnie tak, że jedna grupa prycz miała 12 łóżek, a grup takich było z jednej i z drugiej strony sali siedem do ośmiu. Z pierwszej sali szła pierwsza grupa do opatrunku, 12 łóżek, 30 chorych szło do ambulansu – wracało, szła następna grupa itd. Tak do ostatniej grupy na sali. Gdy było już późno i „panowie” mówili, że na dziś wystarczy, ostatnia sztuba była upośledzona i nawet tydzień była bez opatrunku. Taki opatrunek przeciekał, przemakał ropą po trzech godzinach, a co dopiero po dziesięciu dniach, nie mówiąc o tym, że rany nie goiły się, były bardzo zbrudzone, bo papier opatrunkowy zrywał się, brudził łóżko i można sobie wyobrazić, jak się chory czuł i leczył. A do tego wszystkiego [panował] straszny głód.

Poseł Kornacki: Czy chorych bito?

Świadek: Tak, bito.

Poseł Kornacki: Kto bił?

Świadek: Sanitariusze.

Poseł Kornacki: Dlaczego bito?

Świadek: Z dwóch przyczyn. Na przykład – leżą chorzy w łóżkach. Sanitariusz obchodzi sztubę – musi mieć porządek. Widzi, jak z jednego łóżka zwisa koc. Nie mówi ani słowa, nie podniesie

koca, podnosi but z gwoździami i w tego chorego. Albo jeden z tych chłopczyków bardzo lubił chodzić po chorych. To widocznie go podniecało jako wstęp do wycieczek nocnych. Bił tak doskonale. Rozglądał się: „Czego się śmiejesz?” – i deską zaczynał obrabiać. Wzbronione było palenie na bloku, lecz chory chirurgicznie, który najczęściej nie miał gorączki, mógł palić, jeśli był palaczem. Jak dostał troszkę tytoniu, to chciał zapalić, bo i co mu z tego życia. Nie polepsza mu się zupełnie, jest spuchnięty, leżąc, traci na wadze, brud, co tydzień wybiórka, selekcja. Wie, że nie ma żadnych praw istnienia, a papieros to jedyna radość, zadowolenie. Daje się skusić! Złapią go, nie wolno palić. Dziesiątki takich małych uchybień. Ludzie muszą być czysti – bardzo słuszna rzecz – chodzi się od łóżka do łóżka – „Ty się nie myłeś, dlaczego nie wstajesz?” – i zaczyna go bić. Ten szybko wstaje z gorączką 40 stopni, ropienie się otwierają, ledwo się trzyma na nogach, musi się iść myć. Smród taki straszny, że tego opisać nie można, dzień strasznie długi, przykra strasznie atmosfera i głód. Człowiek czekał na obiad i dostał trzy czwarte litra zupy. Widział, jak inni dostawali dwa – trzy litry, on dostawał moją zupę, moje życie zjadał, a jutro wieczorem przychodził do mnie i sprzedawał mi łupy od kartofli za moją margarynę też obciętą.

Nadszedł poniedziałek, zjawił się Klehr na selekcję, zjawili się i sanitariusze, którzy starannie pilnowali, aby broń Boże ktoś nie wymigał się pod łóżko, pilnowali, żeby poszedł do gazu. Co tydzień przez te trzy miesiące, co poniedziałek, stawałem do selekcji. Wiedziałem, dokąd idą transporty, większość jednak nie wiedziała albo nie chciała wiedzieć. Nie było wyjścia, każdy musiał tam trafić i wiedział, że nic nie pomoże. Było tam dwóch ludzi: Soból i Król. Soból był komendantem sali. Uważał, że ma pewne obowiązki koleżeńskie względem mnie. Wszystkich ratować nie można było, nawet jeźliby się chciało. Chociaż z tym człowiekiem nie zamieniłem więcej niż pięć – sześć słów, uważał on za obowiązek mnie ratować. Zastępca komendanta zaś, którego pewnego razu niechcący uraziłem, uważał, że powinienem iść do gazu. Czekał tylko w każdy poniedziałek na sposobność, gdy nie będzie Sobola, aby wpędzić mnie do gazu. Soból normalnie nie pokazywał się na sali, był muzykiem, a był to urząd bardziej honorowy. Rzadko więc przychodził na salę, ale gdy przyszedł, przynosił trochę chleba. Pamiętać należy, że wtedy bardzo niebezpiecznie było coś dawać Żydowi. W poniedziałek zawsze był obecny na sali i ratował pewną liczbą chorych od śmierci.

W tej atmosferze błędnej rozpacz, beznadziejności, ludzie nauczyli się żyć, a nawet bawić. Była orkiestra obozowa, co niedzielę [dawała] koncert. Była nawet kapela jazzowa. W niedzielę przed południem albo po południu przychodzili i grali więźniom, a w poniedziałek była selekcja. Ludzie nie czuli jednak tego nonsensu i cieszyli się tą godziną muzyki. Gdy usłyszałem po

raz pierwszy tę muzykę, zdawało mi się, że albo ja oszalałem, albo ci ludzie poszaleli i dopiero długo później pojąłem nonsens i potrafiłem usiąść i na godzinę zapomnieć, że jestem w lagrze.

Przewodniczący: Jaki był repertuar?

Świadek: Koncerty muzyki poważnej i jazz. Była w Polsce orkiestra Jolly Boys – szef tej orkiestry, chłopiec wesoły, przynosił dużo radości i pomocy ludziom. Nie trzeba było ich oszczędzać: dobrze im się powodziło, gdyż wszyscy ich znali.

Poseł Kornacki: Panie doktorze, chcielibyśmy usłyszeć, w jakich godzinach dnia, w zimie i w lecie, znajdowali więźniowie czas na rozrywki, na kąpiel, na pójście do kantyny, do teatru i robienie tzw. organizacji? Kiedy na to był czas?

Świadek: Kąpeli w rzece w ogóle nie było. Rzeka płynęła za drutami, tak że dojścia do niej nie było. Kąpali się może tylko ci, którzy pracowali przy rzece, a kapo czasem za kark chwycił i wrzucił do wody. Natomiast w 1944 r., koło jesieni, zbudowano basen pływacki w samym obozie z napisem 1940 r.

Posłanka Boguszewska: To antydatowano, dlaczego?

Świadek: Tak, antydatowano. Miała przyjechać jakaś komisja. Urządzono dwa razy zawody pływackie. Oczywiście brali w nich udział kapo, ci, którzy mieli za dużo energii. W 1944 r. założono dom publiczny.

Poseł Kornacki: W jakim miesiącu mniej więcej wiosną czy jesienią?

Świadek: Takich rzeczy nie pamiętam. Do domu publicznego dziewczęta zgłaszały się ochotniczo. Przyrzekano im za pół roku „pracy” – wolność. Były tam Rosjanki, Ukrainki, Niemki i Polki. Do domu publicznego mieli prawo pójść tylko aryjczycy. Więźniowie dostawali tzw. *Premierscheiny*, tzn. bony w nagrodę za dobrą robotę. Kosztowało to markę, pół, dwie, czasem nic, różnie. Za 50 fenigów mógł kupić flaszkę wody, za markę mógł pójść do domu publicznego. Urządzenie bardzo kulturalne w pojęciu Niemców.

Przewodniczący: A te dziewczęta w domu publicznym też były płatne? Czy też dostawały wynagrodzenie?

Świadek: Nie, tylko przyrzeczono im wolność. Oczywiście dużo było zarażonych syfilisem. Były wprawdzie kontrole, ale choroby, [badając] powierzchownie, nie można stwierdzić. Jeden więzień zarażał drugiego.

Prokurator Pęchalski: Czy można tam było długo przebywać?

Świadek: Nie, przeznaczali 20 min. To robione było po niemiecku. *Ordnung und Kultur*. Kino istniało dopiero od 1944 r.

Obywatelka Nałkowska: Czy był to przywilej, czy wszyscy mogli chodzić do kina?

Świadek: Wszyscy. Kino było bezpłatne. Rozdzielano bilety po blokach i blokowy dawał, komu chciał. Z kinem było pamiętam tak: przy wchodzeniu bicie i przy wyjściu bicie. To nazywało się kino, ale bicie też należało do programu. Raz wchodzi jeden z *Rapportführerów* pijany i daje komendę: „Knie haugen” i w przysiadzie oglądaliśmy film. Tak samo było z teatrem tzw. program był na poziomie lagrowym, dowcipy, coś w rodzaju rewii. Grano po niemiecku. Grali więźniowie. [Granie] w teatrze miało wielki plus: 20 ludzi, którzy wchodzili w skład zespołu artystycznego, miało spokój. W ogóle ze strony więźniów była tendencja, aby umieścić jak najwięcej ludzi, żeby mogli się dekokować przed ciężką robotą. Spotkałem jednego *Vorarbeitera*, który uczył: „Pracuj oczyma, tzn. stój, jak nikogo nie ma, pracuj, jak kogo zobaczysz”. Jeżeli chodzi o czas wolny, to po apelu wieczornym był czas wolny, aż do pójścia spać.

Można było się przejść, rozmawiać, ale bardzo często była tzw. *Lagerspera*, tzn. zamknięcie w blokach, czy to za karę albo gdy przychodziły jakie transporty, albo gdy brano do gazu.

Posłanka Boguszewska: Pan doktor przerwał opowiadanie o dr. Kowalewskim.

Świadek: Doktor Kowalewski był *Schreiberem* blokowym i wraz z Sobolem polubili mnie i chronili. Ratowali mnie przez trzy miesiące.

Obywatelka Nałkowska: Proszę powiedzieć, czy stykał pan się z działalnością konspiracyjną w obozie, czy pan coś słyszał?

Świadek: Jeszcze będę o tym mówił. To było później. Oprócz tego, co dotąd mówiłem, nasz blok miał jeszcze jedną specjalność. Z dwóch okien naszego bloku było widać blok 11. i okna tego bloku. Widać było ścianę śmierci. Jak to wyglądało, opowiem, gdy będę mówił o bloku 11.

Minęła zima – nadszedł 1943 r. Stosunki w tym roku nagle zmieniły się na lepsze. Przyszedł jako więzień nowy lekarz, chirurg, Polak, dr Grabczyński i urządził szpital. Chorymi zaczęli zajmować się lekarze, sanitariusze robili pracę sanitarną. Chory otrzymywał wszystko, co można mu było dać z punktu widzenia lekarskiego. Równocześnie na wiosnę 1943 r. przybył

transport Niemców, więźniów politycznych, wśród nich było paru porządných ludzi. Oni przeprowadzili uczciwy rozdział jedzenia, dr Grabczyński uczciwe leczenie i urządził na bloku 21. szpital i w leczeniu nie czynił różnicy: czy to jest Rosjanin, Niemiec, czy Polak, zwyczajny Muzułmanin, czy Żyd, każdy był tak samo leczony. Była to sprawa wewnętrzna blokowa i każdy dostawał to wszystko, co było do dyspozycji, i to zawdzięczmy tylko dr. Grabczyńskiemu.

Obywatelka Nałkowska: Jego los?

Świadek: Żyje i jest w Krakowie. Pracuje – obecnie w klinice Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przedwczoraj z nim rozmawiałem, to jest jedna z najbardziej świetlnych postaci. Gdy mówię, czy myślę o bloku 21., nasuwa mi się trzech takich lekarzy Polaków: dr Grabczyński, dr Feigel [Fejkiel] ze Lwowa i dr Orzeszko. Niestety co się stało z dr. Fejklem i Orzeszko nie wiem, bo poszli 18 stycznia do transportu. Nie mogli oni zostać, bo *Lagerarzt* ich znał – musieli pójść, tak samo, jak prof. Olbrycht, sława europejska w medycynie sądowej.

Przewodniczący: A jaką funkcję tam pełnił?

Świadek: Przez pewien czas prowadził aptekę, o którą postarali mu się koledzy. Był on bardzo uczciwy. Potem robił sekcje zwłok. To leżało w jego specjalności. O tych trzech postaciach nie wolno zapominać, bo to byli ludzie, którzy X razy z narażeniem własnego życia ratowali, gdzie mogli i kogo mogli. Ratowali ludzi, więźniów bez różnicy. Nie zapomnę dnia, gdy przeprowadzano selekcję i musiano przedstawiać więźniów naczelnemu lekarzowi. Dlatego tak szczegółowo opowiadam o tym, bo chcę przedstawić, jak wyglądało życie biednego, chorego więźnia, gdy lekarz bał się przede wszystkim o swoje życie, i jak wyglądało życie w tych samych warunkach, tego samego więźnia, gdy na czele stał lekarz – człowiek. Chcę przedstawić, co jedna osoba może zdziałać, gdy zechce. Naczelny lekarz musiał przedstawiać *Lagerarztowi* chorych do selekcji. Lekarz stał, gdy chory podszedł, wtedy dr Grabczyński szybko [powiedział]: „Za pięć dni będzie zdrow” – i nim *Lagerarzt* się zorientują, dr Grabczyński odkłada kartkę na bok. Po prostu całkiem wyraźnie to robił, nie dawał się spłoszyć, przestraszyć. *Lagerarzt*, który uczył się chirurgii na więźniach, potrzebował go. Były wypadki, że dr Grabczyński wymieniał nazwisko innego lekarza, SS-mana, który rzekomo interesował się chorym, aby w ten sposób uratować chorego od gazu. Był to człowiek, który szybko orientował się w sytuacji i X takich tricków używał, aby ratować chorych.

Obywatelka Nałkowska: Czy mieli liczbę [więźniów], którą musieli wydzielić?

Świadek: W 1942 r., gdy były selekcje, przychodził *Lagerarzt* i mówił: „Muszę mieć 60 chorych z tej sali”. Lekarz odpowiadał: „Ja nie mam tylu”. On wybierał, decydował SS-man. Zależało to od tego, kto referował o stanie chorych. Najmniej chorych szło z bloku, kiedy dr Grabczyński był lekarzem.

Opisałem trzech lekarzy z mojego bloku. Są jednak nazwiska lekarzy, którzy szprycowali, byli kapusiami i uważam, że nie tutaj miejsce, żeby o nich mówić. W tej sprawie należałoby zrobić poufne posiedzenie i nad tym się zastanowić. Zresztą, jeśli się nie mylę, władze podjęły już pewne kroki w celu ujęcia takich lekarzy. Mówię o wypadkach, które są mi dokładnie znane, nie o pogłoskach. Tutaj nie chodzi tylko o życie człowieka, ale i o honor. Muszę być bardzo ostrożny, jeżeli coś mówię, to o rzeczach, które na własne oczy widziałem, a jeżeli nie widziałem, to staram się być bardzo ostrożny. Tak więc pracował i tyle zrobił w naszym bloku dr Grabczyński. Wiedzano, że blok 21. jest szpitalem. W lutym odszedł pierwszy transport aryjski w głąb Niemiec do innych obozów, przede wszystkim Polaków, i wówczas wzięto wielką ilość ludzi ze szpitala i zwolniły się miejsca. Nastąpiły zmiany. Wielu z tych, którzy byli nieżyczliwi, odeszło, przyszli nowi ludzie. Dostałem nową posadę. Było to w 1943 r. na wiosnę. Zaczął się okres na bloku 21., który nazwałbym walką o każdego pacjenta. Mając takiego szefa, człowieka dobrej woli, mogliśmy przejść do tego, aby z SS-manami walczyć o życie każdego „muzułmana”, który do nas przyszedł. Kręciło się, pomagało, gdy ktoś był za długo chory, to zakładało się nowe karty, szło się na blok 28. i mówiło: „Ja go wypiszę, a daj mu nową kartkę”. Wykradało się karty ambulansowe, niszczyło się dawne i zakładało nowe. Była to zorganizowana walka przeciwko Niemcowi, ratowanie chorych, sabotaż tego, co chciał Niemiec przeprowadzić.

Przewodniczący: W jaki sposób można było zwolnić więźnia?

Świadek: To szło przez Berlin. Trzeba było wiele płacić i wiedzieć, gdzie płacić. Trzeba było znaleźć takiego, który wzięł i załatwił. Grabczyński został zwolniony pod tym warunkiem, że będzie pracował w Oświęcimiu jako robotnik cywilny, jako lekarz w lazarecie SS. Zgodził się na to, przyjął tę posadę, dwa miesiące popracował i pewnego poranka uciekł z żoną, która się wystarała o zwolnienie go z obozu. Krył się, aż przyszły wojska rosyjskie i wrócił do Krakowa. I ciekawe, że dr Grabczyński należał do tych, którzy po wyzwoleniu przez Rosjan pierwsi przyjechali do Oświęcimia, przysłał lekarzy, sanitariuszy, zabierał chorych. On był pierwszym, który pchnął tę sprawę, zorganizował pomoc Czerwonego Krzyża.

Po zwolnieniu dr. Grabczyńskiego jego miejsce zajął dr Orzeszko, człowiek niezwykle prawy i obowiązkowy. On też nie czynił różnic, dla niego chory był chorym i zawsze dr Orzeszko był dla każdego do dyspozycji, czy w dzień, czy w nocy. Trzecią ze świetlanych postaci był dr Fejkiel. Z początku na bloku 20., najcięższym, gdzie było najwięcej zakaźnie chorych. Ratował wielu chorych i bardzo dużo dobrego zdziałał.

Z tego widać, że jeżeli ktoś prawy był na stanowisku, to mógł ratować ludzi, nie musiał być zwierzęciem, nie musiał mordować, aby się utrzymać na swej pozycji. Gdyby to zrozumieli inni – może Oświęcim inaczej by wyglądał. Pamiętam w 1943 r. pewną scenę, składającą się z dwóch części. Pierwsza rozegrała się w Birkenau, druga – w naszym lagrze. Dzisiaj znam obydwie, bo kolega, który był w Birkenau, opowiedział mi pierwszą, a ja znam drugą. W lagrze była pewna liczba młodzieży. Czasem był mniejszy transport – wówczas nie gazowano. Czasem jakieś dziecko spodobało się SS-manowi, to je wypuścił – zależało to od humoru SS-mana. Raz wybrano wszystkie dzieci z Birkenau [w wieku] 14–16 lat, z tym że powiedziano, iż jadą na kurs *Pflegerski* do Oświęcimia. Było ich 163, sami chłopcy. Przesłano ich do Oświęcimia po południu. Ustawiono na podwórzu między blokami 20. i 21. Pojedynczo brano na blok 20., gdzie ich szprycowano.

Posłanka Boguszewska: Czy to były żydowskie dzieci?

Świadek: Wszelkie, zdaje się, że i żydowskie. Pamiętam przyszło kilka transportów polskich dzieci do Birkenau, ale w obozie nie widziano więcej żadnego dziecka. Raz przyszedł transport dzieci z Theresienstadt. Wszystkie poszły do gazu. Kiedy indziej transport 600 dzieci, a ponieważ nie było wtedy żadnego innego transportu, nie można było gazować, bo było za mało ludzi. SS-mani ubili wtedy kolbami te 600 dzieci. Dzieci w Oświęcimiu – to jest specjalny rozdział. Dzieci nie miały prawa do życia. Pamiętam, przyjechał w 1944 r. transport młodzieży z Łodzi. Część poszła do Birkenau, a część do Oświęcimia, a wzięto ich na *Tierpflegerów*. Dzieci wstawały o godz. 3.00 rano (była to młodzież [w wieku] od 16 do 18 lat). Szły spać o godz. 10.00. Cały dzień bez przerwy pracowały przy koniach.

Rok 1943 do 1944 odznaczył się jeszcze czymś specjalnym, eksperymentami nad więźniami. Nim przejdę do eksperymentów, chciałbym powiedzieć jeszcze parę słów o Klehrze, jak on pracował. Klehr, który z zamiłowaniem szprycował więźniów, nie ograniczał się do tego, aby szprycować tylko chorych na tyfus czy tych, których sprowadzano do szprycowania, ale jak

nie było tyfusu, nie było materiału do szprycowania – to sobie sam szukał materiału. Szedł na blok 28. i wchodził na salę, gdzie czekali chorzy po przyjęciu do szpitala, aby przestać ich do odpowiednich baraków, i stamtąd ich wybierał. Wybierał 15–20 ludzi i szprycował ich na miejscu, żeby nie było roboty z przenoszeniem.

Przewodniczący: Czy ktoś przy tej czynności asystował?

Świadek: Tak, zawsze ich ktoś przytrzymał.

Pamiętam te dni, w których przybywały transporty muzułmanów z okolicznych obozów. Transporty przechodziły przez blok 28. w Oświęcimiu, skąd zabierano je na auta i wysyłano do zagazowania. Były to makabryczne sceny. Ludzie przeznaczeni do tych transportów byli tak wychudzeni, że można było policzyć ich kości powleczone skórą. Nie mogłem pojąć, gdzie na tych ludziach szkieletach mogły pomieścić się bardzo ropiejące rany. Transporty przeznaczone do zagazowania były bardzo częste. O ile w samym Oświęcimiu warunki pobytu z roku na rok ulegały raczej polepszeniu, skutkiem tego, że zezwolono na przyjmowanie paczek, dzięki czemu wyżywienie więźniów uległo poprawie, o tyle w okolicznych obozach panowały w dalszym ciągu fatalne warunki, takie jak w pierwszych latach w Oświęcimiu. Mieliśmy sposobność przekonać się o tym najlepiej w szpitalu. Gdy do szpitala przybył chory z któregoś z okolicznych obozów, przedstawiał obraz takiego chorego, jaki widzieliśmy u nas w Oświęcimiu w 1942 r. Chorzy z okolicznych obozów mieli całe podudzia i uda, a także i całe ręce zupełnie zropiałe, byli wychudzeni do ostatnich granic. Przypominam sobie jednego z mężczyzn, normalnego osobnika, wysokości 170 cm, który ważył 35 kg.

Przewodniczący: Czym świadek tłumaczy sobie zmianę warunków szpitalnych z chwilą przydzielenia do szpitala dr. Grabczyńskiego? W jaki sposób wymieniony, będąc zależny od głównego lekarza niemieckiego, mógł wpłynąć na zmianę tych warunków?

Świadek: Złożyło się na to kilka przyczyn. Doktor Grabczyński został przydzielony na blok nr 21 pod koniec 1942 r. Zmiany, o jakich zeznałem, nastąpiły z początkiem 1943 r. Po dwóch, trzech miesiącach dr Grabczyński został naczelnym lekarzem na oddziale chirurgicznym. Lekarz niemiecki musiał się z nim liczyć, ponieważ go potrzebował, tym bardziej że niewiele umiał i „uczył się” u niego. Dzięki temu dr Grabczyński, pozostając w dobrych stosunkach z naczelnym lekarzem niemieckim, nie obawiał się nikogo, tak że budził respekt innych lekarzy. Naczelnym lekarzem zastawał zawsze wszystko czyste, w porządku, a po sprawdzeniu, że nie ma

żadnych usterek, po kontroli wychodził. Nie widział on nigdy, czy w bloku dopuszczano się kradzieży, czy nie starano się o więźniów lub czy źle ich leczono. O usunięcie tych nadużyć, spowodowanych nimi braków starał się dr Grabczyński bardzo wydatnie. Sam się przy tym narażał tak, że pewnego dnia pozbawiono go stanowiska i przeszedł na miejsce lekarza jednej ze sztab. Jednak 24 godziny później znalazł się on już z powrotem na swoim dawnym stanowisku. Nie było to takie proste. Doktor Grabczyński miał bowiem licznych wrogów, wśród których najgroźniejszy był dr Derling [Dering], Polak, ginekolog z Warszawy, który podpisał volkslistę. Słyszałem o jego żonie (nie znam jej), iż była bardzo porządną, prawą Polką i że przez wiele lat przebywała w więzieniu w Warszawie. Niemcy przyrzekali jej bezzwłoczne zwolnienie z więzienia, jeśli zgłosiłaby się jako volksdeutsch – nie zgodziła się. Doktor Dering był znienawidzony przez więźniów wszystkich narodowości, prowadził na bloku 21. salę operacyjną, z czasem został starszym lekarzem w szpitalu w lagrze. W obozie nauczył się chirurgii, poprzednio bowiem praktykował tylko jako ginekolog.

Obywatelka Nałkowska: Za co został zaaresztowany?

Świadek: Nie znam przyczyny jego aresztowania. Wiem, że dr Dering został volksdeutschem w obozie w Oświęcimiu. Przeprowadzał on tam kastracje.

Prokurator Pęczalski: Czy kastracje przeprowadzał na polecenie Klauberga [Clauberga], czy też z własnej inicjatywy, na własną rękę, aby się przypodobać Niemcom?

Świadek: Nie mogę tego z całą pewnością stwierdzić.

Przewodniczący: Czy tego rodzaju zabiegi mogły się odbywać bez wiedzy i aprobaty przełożonych?

Świadek: Faktem jest, że dr Dering przeprowadzał te zabiegi, mógł się tego jednak podjąć także ktoś inny.

Doktor Dering dlatego nie znosił dr. Grabczyńskiego, ponieważ ten miał za sobą praktykę chirurgiczną jeszcze z czasów przedwojennych., podczas gdy dr Dering uczył się chirurgii dopiero w obozie. Starał się on za wszelką cenę podważyć pozycję dr. Grabczyńskiego, jednak to mu się nie udało.

Przewodniczący: Czy dr Dering przeprowadzał te zabiegi także na kobietach?

Świadek: Tak, zabiegi te polegały na laparatomii.

Przewodniczący: Co wiadomo świadkowi o zaszczepianiu kobietom raka?

Świadek: Odbywało się to też prawdopodobnie przy współudziale dr. Deringa. Z całą stanowczością jednak stwierdzić tego nie mogę, że dr Dering przeprowadzał kastracje, to wiem na pewno. Doktor Grabczyński miał wiele nieprzyjemności, wiele starć, dużo ryzykował, ponieważ bardzo się narażał, co było oczywiście bardzo niebezpieczne. Stanowisko w szpitalu wykorzystał w całej pełni dla dobra więźniów. Doktor Grabczyński był bardzo ludzki. Jest to wielce znamienne, jeśli się zważy, że przebywająca w obozie inteligencja, załamując się w zupełności, zawiodła. Inteligent gotów był uczynić wszystko, aby uzyskać trochę zupy czy też kawałek chleba. Jeżeli w łóżku, w którym leżały trzy osoby, umierał chory, to sąsiedzi wyczekiwali tej chwili, kiedy skona, aby móc zabrać dla siebie, w celu spożycia, trzymany przez konającego kawałek chleba. Jeżeli ktoś umarł, to nie zgłaszano tego, a to w tym celu, aby sąsiedzi jego mogli zjeść jego chleb i zupę. Śmierć zgłaszano dopiero dzień później. Sanitariusz, którego obowiązkiem było zgłoszenie zgonu przełożonym, zatrzymywał trupa na własną rękę przez jeden dzień, licząc od zgłoszenia przez sąsiadów zmarłego, w tym celu, żeby pobrać za umarłego jego porcję chleba. Oberłaga trupiarni praktykowała ten sam sposób. Wielki głód panował w obozie. Kwestia profanacji trupa w ogóle nie wchodziła w rachubę, skoro życia ludzkiego zupełnie nie szanowano i obchodzono się z żywymi ludźmi gorzej niż ze starymi szmatami.

Między nadzorcami znajdował się również *Sanitätsdienstgehilfe* tzw. sanitarny pomocnik, któremu podlegał szpital, szefem jego był *Lagerarzt*. *Unterscharführer* szprycował więźniów, nadto do jego ulubionych zajęć należało urządzenie sobie zabawy kosztem więźniów. Odbierał on zawsze rano i wieczorem apel. Do tego apelu stawaliśmy zawsze w korytarzu na dole, ustawieni w dwa szeregi, apel trwał pięć minut, następnie wracaliśmy do siebie. *Unterscharführer* po przyjęciu nas zasadniczo sprawdzał stan, po czym odchodził. Często jednak zdarzało się, że przychodził on w złym nastroju albo znudzony, albo zdenerwowany przez kogoś. Wówczas zawsze znalazł u nas jakąś usterkę – albo mu się nie podobała nasza postawa, albo nasze spojrzenie w jego stronę – rozkazywał nam wówczas wyrównać szereg, a że i teraz coś mu się nie podobało, wydawał swoją ulubioną komendę: „pierwszy szereg w prawo – drugi szereg w lewo zwrot – odstęp”. W związku z tym, że komendę wydawał szybko w języku niemieckim, większość więźniów Polaków nierozumiejąca należycie języka niemieckiego, wykonywała te rozkazy źle, co denerwowało ostatecznie *Unterscharführera* tak, że zarządzał „sport”. „Sport” ten w niczym nie przypominał prawdziwego sportu,

polegał na tym, że *Unterscharführer*, wyprowadziwszy nas na podwórze, przetrzymywał nas tam tak długo, jak długo trwał apel na lagrze, jedną godzinę z rana, dwie do trzech wieczorem. Przez ten czas wydawał on nieprzerwanie komendy: „padnij”, „powstań”, „czołgaj się”, „roluj”, rozkazywał nam wykonywać przysiady, powolne, na cztery tempa, ćwiczenie to było najprzykrzejsze ze wszystkich. Jeśli ktoś się podniósł z kałuży, w której leżał, *Unterscharführer* podchodził do niego i przytłaczał go obcasami do ziemi. Po tego rodzaju „sporcie” kolana odmawiały człowiekowi w zupełności posłuszeństwa. Przypominam sobie, że ten *Unterscharführer* wyprowadził z naszego bloku pewnego razu 60-letniego lekarza, dr. Kruczka, wraz z trzema innymi ludźmi, i przez czas, pół godziny przeprowadzał z nimi „gimnastykę”. Po półgodzinie zabrał dwu spośród nich osobno znów na „gimnastykę”, a skutego tego był taki, że ci obaj więźniowie z największym wysiłkiem wrócili do bloku – jeden z nich po dwóch dniach zmarł. To były normalne, niewinne „zabawy” SS-manów.

Przypominam sobie opowiadanie jednego z kapo *Sonderkommando*. Kapo ten sprawował komendę nad 120 ludźmi, którzy kopali bardzo głęboki i długi rów w jakimś specjalnym celu. Podczas tej pracy podeszli do tego kapo SS-mani i zapytali go, ilu ma ludzi pod sobą. Odpowiedział, że 120. Zapytali go również, ile jest taczek na tych 120 ludzi. Ten odpowiedział, że 60. Na to SS-mani oświadczyli: „To bardzo dobrze. Przyjdziemy tu za pół godziny. Napełnić wszystkie taczki ziemią”. Za pół godziny SS-mani wrócili i przyprowadzili ze sobą tresowane psy i swoje „damy”. Tuż nad rowem wznosił się wysoki nasyp ziemny, bardzo wąski. SS-mani rozkazali 60 więźniom jechać z taczkami po tym nasypie, i to biegiem, i puścili za nimi psy. Zdenerwowani więźniowie bardzo już pomęczeni, mając do tego psy za sobą, nie mogli tego rozkazu wykonać, tak że większość powpadała z nasypu do rowu i pozabijała się. Do reszty ludzi, którzy pozostali, SS-mani zaczęli strzelać. Gdy już tę „zabawę” skończyli, oznajmili kapo, że przyjdą jeszcze raz po południu i że taczki na popołudnie mają być znowu napełnione ziemią. Na odchodne polecili wyciągnąć z rowu wszystkich pozabijanych i taczki, które wraz z nimi tam powpadały.

Popołudniu SS-mani rzeczywiście ponownie przybyli, znów z psami, z tą jednak różnicą, że tym razem towarzyszyły im kobiety. Znowu powtórzyła się historia sprzed południa. Kiedy w pewnej chwili podszedł kapo i zameldował, iż robota jest bardzo ważna i nie ma ludzi, a musi ją skończyć, jeden z SS-manów odpowiedział mu, że wieczorem przybywa nowy transport, z którego przydzielili mu się nowych ludzi, przy czym poklepał go, a nawet poczęstował papierosem. Kobiety towarzyszące tym SS-manom, co muszę w tym miejscu

podkreślić, były często gorsze od mężczyzn, niejednokrotnie przychodziły przyglądać się męczarniom więźniów. Tego rodzaju zachowanie kobiet można zaobserwować nie tylko w Oświęcimiu, ale także w innych obozach. Były to Niemki. Ich zachowanie i obecność zachęcała SS-manów do popisywania się przed nimi. W obozie były również zatrudnione SS-manki, które odznaczały się szczególną brutalnością. Pracowały one na oddziałach kobiecych, chodziły zawsze z psami.

W szpitalu bywało nieraz tak, że czy to przez protekcję, czy też z innych przyczyn mieliśmy nieraz dosyć żywności. Jeden z przydzielonych do szpitala miał przyjaciela na lagrze, który głodował i dlatego też postanowił mu dopomóc. W tym celu każdego wieczora spuszczał mu przez okno na sznurku litr zupy. Gdy to pewnego razu to czynił, zauważył to *Unterscharführer* siedzący w oknie. Skutek był taki, że wyszukał on tego chorego, zabrał go ze sobą i przez pół godziny bił po ciele żelaznym pogrzebaczem. Rozkazał mu również wykonywać na komendę przysiady, powstawanie itp. Więzień ten był mężczyzną wysokiego wzrostu (180 cm), ważył 95 kg. Leżał on potem chory całe miesiące. Pamiętam więźniów, którzy byli karani chłostą, co kończyło się w 90 [proc.] wypadkach flegmoną pośladków. Na pośladkach tworzyły się dziury wielkości pięści. Wychłostani leczyli się potem u nas na oddziale szpitalnym, leczenie to trwało całe miesiące. Najdokuczliwsze rany mieli ci więźniowie, którzy byli przesłuchiwanym na oddziale politycznym. Zasadniczo po takim przesłuchaniu odwożono przesłuchiwanego do szpitala. Widziałem ludzi pobitych, którzy leżeli dwa do trzech dni, po czym umierali, nie mając żadnych ran, mieli uszkodzenia wewnętrzne. Pewnego razu widziałem człowieka od kolan aż po szyję zupełnie czarnego wskutek bicia, z olbrzymimi ranami na pośladkach, z opuchniętym przyrodzeniem.

Przewodniczący: Czy pan z tymi ludźmi rozmawiał?

Świadek: Nie. Leżeli oni na mojej sztubie, nic mi nie opowiadali o swoich przejściach. Widziałem jednak ich kartę szpitalną, która mi wszystko wyjaśniała. Więźniowie polityczni i tak by ze mną nie rozmawiali. Po dłuższym czasie, gdyby nabrali do mnie zaufania, opowiedzieliby mi swoją niedolę, wówczas jednak, kiedy przyszli na oddział, nie znając mnie jeszcze, nie mieli do mnie zaufania.

Pewnego dnia, gdy znajdowałem się na bloku 19., przechodziłem przez salę i przywołał mnie do siebie jeden z chorych leżący w łóżku. Był to starszy człowiek, który poprosił mnie o kilka minut rozmowy. Gdy siadłem przy nim, opowiedział mi, że jest zakonnikiem z Warszawy

po święceniach kapłańskich. Powiedział mi zarazem, że mówi do mnie jako do człowieka, gdyż czuje bliską śmierć, a ma 80 lat, odchodzi ze świata w zupełnym spokoju ducha. Byłem wzruszony jego słowami, jego spokojem i równowagą duchową. Ksiądz prosił mnie, abym, jeśli kiedyś wyjdę z obozu, dał znać jego przełożonym, że on zmarł. Wymienił mi swoje imię, którego niestety nie zapamiętałem. Dlatego też chciałem go poprosić jeszcze o powtórzenie swego imienia i nazwy klasztoru, do którego należał, wtedy jednak właśnie mnie zawołano, tak że musiałem czym prędzej odejść. Pracowałem potem do późnej nocy, wieczorem zbił mnie SS-man, tak że nazajutrz leżałem w łóżku. Księdza tego już więcej nie widziałem, ale ta rozmowa z nim dała mi wewnętrzną siłę do przetrwania mojej niedoli w obozie. Rozmowy z nim odbytej nigdy nie zapomnę.

Przypominam sobie, jak z początkiem września przyprawiono chorego, który tego samego dnia musiał być poddany operacji. Operacja była tego rodzaju, że po pewnym czasie (dwa – sześć tygodni) miał nastąpić drugi zabieg operacyjny. Chory ten przybył z Budapesztu, pochodził ze Lwowa, gdzie był adwokatem, nazywał się Löwenstein. Jego ojciec był posłem do parlamentu austriackiego i głównym obrońcą w procesie Steigera we Lwowie. Doktor Löwenstein, kapitan wojsk polskich, był jednym z czynnych członków PPS na terenie Lwowa. Działał w nielegalnym ruchu, jeszcze podczas zaborów, w partii socjalistycznej. Po wybuchu wojny w 1939 r. wyjechał do Budapesztu. Tam pełnił funkcję szefa łączności między Warszawą a Londynem. Na tym stanowisku pozostawał przez dłuższy czas. W 1944 r. wysłodziło go jednak gestapo, które równocześnie schwytało łącznika przychodzącego do niego, jako do szefa łączności z pocztą z Polski. Gestapo wysłało dr. Löwensteina do Oświęcimia, właśnie w początkach września. Towarzysze jego więźniowie socjaliści prosili mnie, abym starał się umożliwić temu człowiekowi powrót do zdrowia, a to dlatego, że w ciągu dwóch tygodni miała być przygotowana dla niego ucieczka. Doktor Löwenstein był wybitną indywidualnością. Czyniłem wszelkie starania w kierunku poprawy jego zdrowia tak, aby można było przyspieszyć jego operację. Nie zdało się to jednak na nic, ponieważ jednego dnia przybył na izbę *Lagerarzt* z wyrokiem śmierci. Chorego położono na noszach, jako rekonwalescent nie mógł iść o własnych siłach, odstawiono na portiernię, gdzie czekał na auto. W pewnej chwili zapytał mnie, czy idzie do gazu, czy też na rozstrzelanie. Pytał się mnie o to zupełnie spokojnie, a ja pochylony nad nim, widząc przez ramię lekarza obozowego, odpowiedziałem mu, że biorą go na rozstrzelanie. „To lepsze” – odpowiedział mi na to. Gdy go już wsadzano po dwóch godzinach oczekiwania na portierni do auta, pochyliłem się nad nim,

a wówczas on mi powiedział: „Powiedz towarzyszom, że nie wsypałem nikogo. Do ostatniej chwili byłem wierny partii i jej sprawie”.

Pewnego razu samoloty alianckie bombardowały fabryki położone dookoła obozu. Jedna z bomb uderzyła w barak i wpadła do piwnicy, do której SS-mani wpędzili uprzednio więźniów w obawie, aby ci nie puciekali. Na skutek wybuchu tej bomby przyniesiono do szpitala ok. 40 ciężiej rannych. W dwa dni potem *Lagerführer* przysłał tym ofiarom nalotu kwiaty, a cztery dni później każdemu z nich po kawałku czekolady, skradzionej z paczek żywnościowych, które przyszły dla więźniów, którzy już nie żyli. Cztery dni później odbyła się selekcja, w wyniku której większość tych ofiar została przeznaczona do zagazowania. Uważałem, [podobnie] zresztą jak i inni więźniowie, że jeśli Niemiec robi coś dobrego dla więźnia, to trzeba na to dobrodziejstwo patrzeć jak na coś podejrzanego. Przypominam sobie, iż w czasie jednej z selekcji wybrano więźnia, który przetrwał w obozie dwa i pół roku. Orientował on się dobrze, dokąd go biorą, a odchodząc, zwrócił się do mnie z następującymi słowami: „Widzisz, tak długo się męczyłem, a teraz też idę do gazu. Jeżeli stąd wyjdiesz, to opowiedz, jak nas zabijano”. Ci, którzy odchodzili do zagazowania, musieli się ubrać w ubrania, w buty, a nawet włożyć myckę na głowę.

Przypominam sobie, jak jeden z więźniów przeznaczonych do zagazowania, prosił dwóch swoich przyjaciół, aby, po wyjściu z obozu, dali znać jego żonie przebywającej w Paryżu, że został zagazowany. Dał im zlecenie, aby podziękowali w jego imieniu żonie za przeżyty z nim czas, aby w jego imieniu poprosili ją o dobre wychowanie dzieci. Pamiętam, iż mówił to do nich zupełnie spokojnie, opanowany, mimo to jednak jego towarzysze, do których się zwrócił, płakali. Więzień ten miał złamaną rękę i jakoś tydzień później miano mu z niej zdjąć gips. Zaimponował mi swoim spokojem, z jakim odchodził na śmierć.

Największe wrażenie wywierały chwile, kiedy podczas selekcji wywoływano ludzi przeznaczonych na zagazowanie. Często zdarzało się, że liczba wyznaczonych do gazu była bardzo wielka, tak że nie można było ich zabrać na raz w jednej grupie. Wobec tego zabierano ich partiami, odprowadzenie [jednej zajmowało] 15–20 min. Po odprowadzeniu jednej grupy wracano po resztę. Aż do ostatniej chwili chorzy, leżący na sali w łózkach, nie wiedzieli, kto odchodzi do zagazowania. Przeznaczonych do gazu wywoływano numerami, nie wiedziało się, kto pójdzie, a kto zostanie, co wywoływało u więźniów olbrzymie zdenerwowanie. Pewnego razu przy takiej selekcji, jeden z chorych zwrócił się do mnie z zapytaniem: „Doktorze, czy to już wszyscy?”. Nie wiedziałem, co mam na to odpowiedzieć.

Chciałbym jeszcze opowiedzieć parę szczegółów ze szpitala, następnie zakończenie z życia obozu, a potem kilka ogólnych obrazów. Jak państwu wiadomo, gdy przychodził nowy transport, wówczas już przy wysiadaniu z pociągu robiono selekcję; część zupełnie zdrowych mężczyzn przechodziło do naszego obozu. Po przyjeździe do nas przed przebraniem w ubrania *Häftlingów*, przychodził *Lagerarzt*, SS-man i powtórnie robił selekcję, a więc chorych, słabych, niezdolnych do ciężkiej pracy odłączał i posyłał do gazu. Bardzo często odbywały się te selekcje przy tzw. *Effektenkammer* przed blokiem nr 26.

Pamiętam, przyjechał kiedyś transport z Holandii – było to w 1944 r. – i część mężczyzn przysłano do obozu, a ponieważ nie było miejsca, posłano tych ludzi na blok nr 11 i z okien naszego bloku widzieliśmy, jak ustawiali ich na podwórzu i lekarz robił selekcję. Okazało się, że było dużo słabych. Przejrzał ich wszystkich – posłał do gazu. Po prostu zniecierpliwiał się, że za dużo było chorych. Za wyjątkiem jednego, był to 70-letni Holender, który go zaciekał z tego powodu, że człowiek ten miał przepuklinę rzadko widzianych rozmiarów, prawie od moszny do kolan, do trzech czwartych uda. Lekarz ów uczył się wtedy operacji na ludziach, więc go to zainteresowało. Jasną było rzeczą, że ten człowiek po operacji musi iść do gazu. Gdy chory przyszedł do nas na chirurgię, nie chcieliśmy go operować. Nonsensem była operacja, jeśli mu przepuklina nie przeszkadzała przez tyle lat. Po kilku dniach pyta się lekarz, czy zrobiono operację – po prostu zmuszał nas do tego, żeby tę operację zrobić i zrobiliśmy. Operacja się świetnie udała. Ten człowiek żył dziwnym zrzędzeniem losu jeszcze pół roku, chociaż pożywienie było złe i mimo iż było wiele selekcji, przez te pół roku umarł śmiercią naturalną w łóżku.

Przewodniczący: Czy te selekcje nadprogramowe, przypadkowe odbywały się bez rejestracji?

Świadek: To odbywało się w ten sposób: przede wszystkim sortowano – kobiety i dzieci osobno i mężczyzn osobno. Z mężczyzn na oko wydzielano się zdrowych – na oko – gdyż to nie było badanie lekarskie; młodzi w jedną stronę, starsi w drugą stronę i z kobietami było to samo.

Przewodniczący: Więc ci, którzy szli do gazu, nie wiedzieli o tym?

Świadek: Nie – nie wiedzieli.

Przewodniczący: A więc można przypuszczać, że w ten niewiadomy sposób ginęły całe miliony ludzi?

Świadek: To omówię przy problemie opisu krematorium, za pomocą liczb wytłumaczę i powiem, skąd je bierzemy.

Jak już powiedziałem, przyjechałem w 1942 r. Z czasem następowały pewne ulgi. Życie stawało się stosunkowo lżejsze. Pamiętam wiosną w 1943 r. stałem przy oknie i zobaczyłem wróbelka, wtedy dopiero uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy od roku widziałem ptaka. Proszę sobie wyobrazić – w obozie liczącym kilkadziesiąt tysięcy ludzi nie widziałem ptaków, bo ich nie było, nawet przy śmietnikach nie było ani jednej okruszyny, którą mogłyby się pożywić. – I jeszcze pół roku potem widziałem pierwszego kota w obozie.

W 1943 r. zrobiono na bloku wielką *Pflegernię*, tzn. salę, na której spali sanitariusze nie tylko z naszego bloku, ale i z innych. Jasne jest, że wieczorem sanitariusze schodzili się, opowiadali zdarzenia itd. Jednego wieczoru nie zapomnę. Było to po selekcji i wieczorem, gdy leżałem w łóżku, słyszę o parę łóżek dalej rozmowę grup sanitariuszy między sobą: rozmawiali z radością, że znów wzięto Żydów do gazu. I wśród tych wszystkich był jeden tylko, który zaczął ich napominać, dlaczego oni tak myślą, że to jest fałszywe. Pamiętam w 1944 r., gdy przyjeżdżały wielkie transporty węgierskie, zbierano pewnego razu w całym obozie koce.

Przewodniczący: Co to znaczy wielkie transporty?

Świadek: Wytłumaczę to potem, gdy będę przy transportach. W 1944 r. przybyło z Węgier 650 tys. ludzi, tzn. wielkie: trzy – cztery transporty dziennie.

Zabrano koce, zostawiając tylko dwa. Oczywiście część ludzi miała ich więcej – nie wszyscy. Zabrano te koce i ludzie nie wiedzieli, o co chodzi. Pewnego dnia przed południem przyszło kilka tysięcy kobiet z Birkenau, obozu kobiecego. Były ubrane w długie włosiennice, niby szare, ni to suknie, ni to koszule, aż po kostki, obcięte włosy. Każda zabrała po cztery koce i szły dalej do obozu w Birkenau. Trwało to pewien czas i oczywiście staraliśmy się, aby SS-man nie widział i pytało się, kto, co i jak. Były to kobiety węgierskie, które nie były jeszcze wciągnięte w życie obozu, nie były normalnie karmione, tzn. nie dostawały normalnego przydziału jedzenia już od ośmiu – dziesięciu dni, nie dostawały chleba, od czasu do czasu trochę zupy, spały pod gołym niebem, w dobrych wypadkach w baraku bez koców, bez sienników na gołej ziemi w jednej tylko koszuli. Po południu szła dalsza taka grupa znów jakieś 2000 kobiet i znów to samo. Tym kobietom było jeszcze dobrze, bo w jednym obozie w Birkenau była większa liczba kobiet, które pracowały zupełnie nago przez trzy – cztery miesiące, przy tym magazyny

uginają się pod stosami ubrań, bielizny, butów, słowem wszystkiego. Dopiero po pewnym czasie, ponieważ obóz ten sąsiadował z obozem męskim, zrobili z koców, które przerzucali mężczyźni, jakieś zasłony, spodenki, fartuchy i tak pracowali. Ginęły w straszliwy sposób. To były letnie i jesienne miesiące. Trzeba pamiętać o tym, że nawet latem klimat w Oświęcimiu, zwłaszcza rano i wieczór, jest bardzo ostry. Jeżeli są deszczowe dni, a jest ich dużo, to jest zimno nawet latem jak normalnie wczesną wiosną.

Prokurator Pęczalski: Czy one w ogóle nie miały żadnego odzienia i w dzień, i w nocy?

Świadek: Cały czas, dokładne dane poda kolega Wolken.

Prokurator Pęczalski: Gdzie one pracowały?

Świadek: Na polu – to była większa grupa kobiet.

Prokurator Pęczalski: Czy pan jest w posiadaniu jakiegoś planu Oświęcimia, czy nie?

Świadek: Nie mam planu, ale nakreślić plan jest łatwo. Doktor Wolken ma plany Birkenau.

Prokurator Pęczalski: Czy ma Pan zapiski z okresu pobytu w Oświęcimiu?

Świadek: Nie, doktor Wolken je ma.

Z końcem 1943 albo z początkiem 1944 r. wybuchła w obozie kobiecym epidemia świerzb. To jest zrozumiałe, świerzb jest bardzo zaraźliwy, zarażała jedna [więźniarka] drugą. W zasadzie rzecz niewinna. Jest to choroba skórna, absolutnie nie niebezpieczna i w ciągu dwóch, najwyżej czterech dni można ją wyleczyć za pomocą maści czy jakiegoś płynu. Wtedy środkiem, którego używano, był mitigal. Mitigalu wtedy w obozie nie było, ale porządek musiał być. Wyleczono te kobiety w ten sposób, że ok. 9000 posłano do gazu, bo miały świerzb. Miesiąc później wyładowaliśmy cały wagon mitigalu, który wystarczyłby na sto razy tyle ludzi.

W 1944 r. przyszedł *Zugang*, a z nim m.in. niejaki Sowa. Był to znany morderca... Jak się nazywa to więzienie na Śląsku, nie mogę sobie przypomnieć. Latami był on prawą ręką szefa tego więzienia, to było niedaleko nas i strasznie się znęcał nad tymi ludźmi. Ten właśnie Sowa przyszedł do obozu. Lotem błyskawicy rozniosła się ta wiadomość i po raz pierwszy w dziejach obozu więźniowie zebrali się i zaczęli bić Sowę na ulicy lagrowej (obozowej). Bito go, a ten z trudnością jeszcze się bronił, a potem [nie mógł już się] bronić, najprawdopodobniej byłoby

go ubili na miejscu, gdyby nie przyszedł blokowy i nie wziął go pod opiekę. Zaprowadził go do ambulansu. Tam lekarz wiedział, że jeżeli go przyjmie, to postawa tłumu była tak groźna, że rozniosą ambulans. Nie przyjął go. Przed blokiem 28. stał tłum więźniów, droga była zamknięta. Otwarta była jedna droga w kierunku drutów i Sowa poszedł na druty. Było to w dzień, kiedy druty nie były ładowane elektrycznością. Wtedy jeden z SS-manów zaczął do niego strzelać, raz strzelił, nie trafił, drugi raz strzelił, nie trafił, trzeci raz trafił go w nogę i wtedy dopiero przyszło dwóch SS-manów i wzięli go na blok 11. W ten sposób go uratowano. Był to pierwszy przypadek samosądu obozowego. Krótco później był drugi taki wypadek. To było w 1944 r.

Prokurator Pęchalski: W jakim charakterze przyszedł Sowa?

Świadek: Jako więzień.

Prokurator Pęchalski: Mieliście tam morderców, którzy bezpośrednio na was dopuszczali się morderstw? Nie było przeciwko nim wystąpień. Mieliście na miejscu ludzi, którzy mordowali was od miesięcy i nie było aktów samosądu? Jakie momenty wchodziły w grę, że nie dopuszczaliście się na nich samosądu? Skoro szpital liczył się z postawą tłumu, tzn. że tłum mógł coś zrobić.

Świadek: Mówiłem już o nastrojach, jakie panowały w obozie. Więźniowie wszyscy razem i każdy z osobna byli terroryzowani przez SS-manów, przez kapo i blokowych. Zrozumiałe, że żaden SS-man nie pozwoliłby na to, żeby jakiemuś blokowemu albo jakiemuś kapo spadł włos z głowy, bo gdyby pierwszego ubito albo zabito, a SS-man nie zareagowałby na to, to by się dyscyplina w obozie rozluźniła. Sowa był *Home novus*. Nie miał jeszcze poparcia opaski i SS-manów. Dlatego to SS-mani stali i uśmiechali się, patrząc na tę zabawę. To była przyczyna, jego można było bić, a innych nie. Można było się zemścić i na to wskazują zdarzenia, o których wspominałem. Gdy szły transporty w głąb Niemiec, to w czasie transportu bardzo często wykańczano tych, którzy w lagrze mordowali. Bo tego, co działo się w zamkniętym wagonie, nie można było skontrolować. W 1943 r. zaczęły się wielkie transporty aryjskie zwłaszcza w głąb Niemiec. W 1944 r. transporty te przybrały na sile. Zaczęto ewakuować Żydów z Birkenau i Oświęcimia. Doszło do tego, że pod koniec 1944 r. był w Oświęcimiu minimalny procent aryjczyków.

17 stycznia 1945 r. wieczorem przyszedł nasz lekarz obozowy *Obersturmführer* dr Fischer i kazał natychmiast spalić całe archiwum. Na naszym bloku archiwum znajdowało się na strychu i była także główna *Schreihstube* szpitala. Sam pilnował, żeby wszystko spalić.

Myśmy w kocach nosili stopy kartotek chorobowych i innych dokumentów i palili. Chodziłem z moim kolegą, który mówił: „Wiesz, teraz palimy III Rzeszę” – i rzeczywiście tak było, jak powiedział. 18 stycznia wieczorem ewakuowano lager. Wieczorem poszło ok. 12 tys. mężczyzn do transportu i w ten sam dzień ewakuowano Birkenau. Zostali tylko chorzy, niezdolni do marszu, i kilku lekarzy i sanitariuszy ochotników, którzy zgodzili się zostać przy chorych. Zapowiedziano wprawdzie nieoficjalnie, w tajemnicy, że w godzinę po odejściu transportu obóz zostanie wysadzony w powietrze, gdyż były tam do tego oddziały saperów. Nazajutrz okazało się, że jeszcze w obozie zostali więźniowie, komando z fabryki Union [Fabryki Kruppa] pewna liczba blokowych, kapo itd.

W niedzielę 20 stycznia poszła ostatnia grupa, paręset osób z *Lagerführerem*. Było bezkrólewie, nie było Niemców, Rosjan też jeszcze nie było. Od czasu do czasu widziało się żołnierza niemieckiego, dokoła strzelano, strzelano też w obozie. Trzy dni potem przyszedł Kraus z kilkoma SS-manami i przy okazji zastrzelił pięciu więźniów, których spotkał.

W czwartek 25 stycznia popołudniu weszło do obozu ok. 80 gestapowców z pistoletami maszynowymi, obstawili obóz i ulecie [?] lagrowe z rozkazem: „Wszyscy mają wyjść i ustawić się” – nawet ciężko chorzy mieli być wyniesieni, z tym że nas będą ewakuować. Sytuacja była zupełnie jasna. U nas na bloku było dużo chorych, co mieliśmy robić z tymi ciężko chorymi? Zdecydowaliśmy się, że trzeba pójść do *Kommandoführera* i interweniować w sprawie ciężko chorych. Z wielkimi trudnościami dostałem się do bramy wyjściowej, gdzie ten *Kommandoführer* miał się znajdować i czekałem. Wreszcie przyszedł. Typowa twarz gestapowca, zdaje się znana wszystkim. Melduję się i mówię o sprawie tych ciężko chorych. Nim jeszcze zacząłem z nim rozmawiać, zajechała lekka maszyna, wyskoczyło z niej dwóch gestapowców, podeszli do *Kommandoführera*, szepnęli coś. On machnął ręką. Ja mu przedstawiam sprawę, a on krzyknął: „To moja sprawa, do szeregu”. Wtedy widziałem, że przegrana jest sprawa chorych i także moja. „Marsz do szeregu!” – krzyknął, a do jednego z gestapowców: „Uważać na niego, ale natychmiast”. Wracając, doszedłem do tego gestapowca i myślałem, jak się dostać z powrotem na blok i wrócić do chorych, Dlatego, że zostałem w dzień ewakuacji, zostało na mojej sali bardzo dużo słabych chorych, którzy mogliby jeszcze chodzić, ale gdzie lekarz zostawał, zostawali i chorzy. „Jeśli lekarz może zostać, możemy i my zostać z nim” – mówili. Podchodzę do tego gestapowca i widzę po jego minie, że on nie słyszał, czy też nie zrozumiał rozkazu, ale uświadomiłem sobie, że to słowo „natychmiast” zrozumiał. Mówię mu: „Komendant kazał mi natychmiast wracać do chorych”. Próbowałem, on uwierzył i puścił mnie, tak więc za pomocą

tego kłamstwa wróciłem na blok, a pięć minut po tym nie było ani jednego gestapowca w obozie i ludzie stali na ulicy. Zniknęli, jakby się pod ziemię zapadli. Potem dowiedzieliśmy się, że tego dnia o godz. 7.00 miał odejść ostatni pociąg, a ponieważ Rosjanie nacierali bardzo szybko, pociąg poszedł nie o 7.00 ale o 5.00. Tym samym samochodem, którym przyjechali gestapowcy, zameldowano, że nie ma czasu, że trzeba uciekać.

26 stycznia nic nie było. 27 stycznia w sobotę, [głosy] strzelaniny były coraz bliżej, wiedzieliśmy, że zbliża się front. Pierwsi żołnierze sowieccy weszli do obozu.

Prokurator Pęczalski: Co było z administracją?

Świadek: Myśmy ją prowadzili, już w pierwszą noc, gdy tylko SS-mani opuścili obóz, rozbiliśmy magazyny i nieśliśmy na bloki jedzenie. Magazyny były przepełnione. Wszystkiego czego nie dostawaliśmy w okresie więzienia było w bród, tłuszcze, masło, mąka, cukier, miód, wszelkiego rodzaju konserwy, kasze. Gotowaliśmy i żywiliśmy pozostałych chorych i leczylimy przez ten czas. Najwięcej trudności było z wodą. Brakowało wody, brakowało światła, trzeba było wodę nosić z basenu. Dziennie potrzebowaliśmy tylko do samego gotowania do 4000 l wody. Trzeba było myć ludzi, czyścić bloki. Jedną z największych trudności były klozety. Problemy te rozwiązywaliśmy w ten sposób, że znalazła się pewna grupa więźniów, którzy byli do dyspozycji i pomogli w pracy.

Prokurator: Czy w pierwszych dniach stycznia dochodziły do was wiadomości, że front niemiecki pęka?

Świadek: Mieliśmy gazety, a z gazet można było wywnioskować, co się dzieje.

Prokurator: Czy Niemcy zmienili do Was swój stosunek, czy złagodnieli?

Świadek: Do ostatniej chwili postępowali bez zmian. Dzień 17 stycznia to był ostatni normalny dzień w obozie. Stan wszystkich więźniów w całym kompleksie w Oświęcimiu (bo kilkadziesiąt lagrów należało do Oświęcimia) wynosił 45 342 mężczyzn, ok. 16 tys. kobiet i 96 jeńców, żołnierzy rosyjskich. Przez cały czas numerowano więźniów, w sumie było ponad 253 tys. mężczyzn i 110 tys. kobiet. Obok numerów były różne serie.

Prokurator Pęczalski: To znaczy, że to, co było objęte rejestracją, nie sięgało pół miliona? A jakie były warunki tych więźniów, którzy nie byli rejestrowani?

Świadek: Do tego dojdę, mam zapisane.

Prokurator Pęczalski: Wiadomo przecież, że przez Oświęcim przeszło parę milionów.

Świadek: Przez Oświęcim przeszło według naszego rachunku – my bierzemy minimum, wolimy podać mniej niż więcej – ok. 6 mln ludzi. Przy tym zaznaczam, że część poszła w głąb Niemiec, ostatniego dnia zostało ponad 60 tys. ludzi. Po ewakuacji ostatniego dnia zostało w Oświęcimiu, w Birkenau i Monowicach ok. 5000 chorych, tzn. że na transport poszło ok. 50 tys. ludzi.

Prokurator Pęczalski: Ostatnio mówił dr Mayer, że on mógł ustalić liczbę wymordowanych do końca 1944 r. na pięć i pół miliona osób. A do tego przyszło ponad milion osób wymordowanych, którzy w maju przyjechali z Węgier, czyli twierdził, że liczba wymordowanych według jego obliczeń, wynosiła 6,5–7 mln. Czy pan doktor, mówiąc o 6 mln nie za nisko szacuje? Czy to są supozycje, czy oparte na ścisłych danych, czy mieliście dostęp do kancelarii?

Świadek: Trudno mówić o liczbach, można mówić o danych szacunkowych. Jeden z kolegów pracował w szpitalu, drugi przy zapisywaniu itd. Jeden wiedział to, drugi tamto. Myśmy rachowali, zestawiali, po prostu kombinowali te dane. W tym miesiącu poszło tyle a tyle, potem jakiś kapo powiedział, że tyle a tyle spalono i porównywano te dane i przez cały czas robiliśmy rachunki. Kto robił te obliczenia, dochodził mniej więcej do tej samej liczby.

Od 1943 r., a może nawet trochę wcześniej, więźniowie zaczęli tworzyć różne organizacje. Praca była bardzo ciężka. Warunki, gdy ludzie przebywali w wielkim skupisku, były trudne, aby coś utrzymać w tajemnicy. Nie było zaufania. Ludzie byli zbyt zamknięci, zbyt głodni, zbyt zmęczeni, zbyt dużo śmierci dookoła, za bardzo sterroryzowani, aby mogli się organizować. Początki były więc bardzo ciężkie, jednak praca szła naprzód. Nawiązaliśmy kontakt z partyzantami. Mieliśmy kontakt między Oświęcimiem a Birkenau, gdzie były bratnie organizacje. W 1943 r. doprowadziliśmy do tego, że wszystkie partie się połączyły. Późnym latem 1944 r. przyszedł rozkaz ostrego pogotowia i czekaliśmy z dnia na dzień, z godziny na godzinę, w ostatniej chwili przyszedł rozkaz z zewnątrz: czekać, mimo że był już wyznaczony dzień i godzina. Pomyślane to było w ten sposób, że uderzenie na lager nastąpi od zewnątrz, a my uderzymy od wewnątrz. Przyszedł jednak rozkaz czekać i Oświęcim posłuchał, Birkenau posłuchało, tylko *Sonderkommando* nie posłuchało i uderzyło. Wyszli w powietrze jedno krematorium, zabili 18 SS-manów. Padło ich przeszło 200 – kilku tylko uciekło. Po przeprowadzeniu badań wyszło

na jaw, że proch użyty do wysadzenia pochodził z [fabryki] Union, w której pracowali więźniowie. Po śledztwie znaleźli cztery kobiety, które szmuglowały ten proch i wszystkie powieszono. Były to Żydówki, zdaje się, że polskie, ale nazwisk nie pamiętam. Z początku było kilka organizacji, komunistów, Żydów, Polaków, trzy – cztery grupy, które się potem złączyły.

Prokurator Pęczalski: Jakimi środkami broni dysponowały organizacje?

Świadek: Była broń krótka i parę granatów.

Prokurator Pęczalski: Mniej więcej w jakich ilościach?

Świadek: Tego dokładnie nie wiem.

Prokurator Pęczalski: A stan liczbowy organizacji?

Świadek: Też nie znam. Znam tylko swój odcinek, wiem, co się u mnie działo.

Prokurator Pęczalski: Potem, gdy trzeba było czekać, wyście się dalej organizowali i czy wtedy, gdy Sowieci szli naprzód, nie mieliście jakichś specjalnych rozkazów do wystąpienia? Przecież aż się prosiło, żeby wystąpić.

Świadek: Myśmy wiedzieli, że front idzie naprzód, nie wiedzieliśmy, jak jest daleko, ale i SS-mani też nie wiedzieli. Kierownictwo samo nie wiedziało, trzy do czterech dni po ewakuacji obozu przyszedł jakiś wyższy oficer z żołnierzami i z oburzeniem stwierdził, że SS-mani za prędko uciekli. Druga sprawa: odchodziły wielkie transporty więźniów i co parę dni trzeba było [organizację] budować od początku. Nie było czasu na żadną akcję, bo wszystko, co się zrobiło, oni przez te transporty na nowo zrywali.

A teraz sprawa krematorium i gazowania w ogóle.

Jak wiadomo, obóz został utworzony w lipcu 1940 r. Pierwsze gazowanie próbne odbyło się późną jesienią w 1941 r. na bloku 11. Zagazowano wtedy stu Polaków i ok. 600 Rosjan, jeńców wojennych. W 1941 r. zaczęły się gazowania w Birkenau. Były tam dwie chałupy chłopskie. Jeden chłop nazywał się Wiecha, nazwiska drugiego nie pamiętam w tej chwili. Rodziny tych chłopów ewakuowano i w tych chatkach gazowano. W jednej 500 osób dziennie, w drugiej 800. Po zagazowaniu trupy zakopano. Wiosną 1942 r. nastąpił szalony rozkład tych ciał. Odór był straszny. Wykopano więc ciała i zalano w dołach. Te dwie chałupy nazywano krematorium I.

Na wiosnę 1940 r. zbudowano niewielkie krematorium w Oświęcimiu, w którym gazowano i palono.

Wedle moich informacji krematorium I to były chałupy chłopskie, a II i III były to krematoria specjalnie zbudowane. Były tam piece i komory gazowe. Krematorium II i III zaczęto budować przed wizytacją Himmlera w obozie. Himmler był w obozie w 1942 r. Potem wybudowano krematoria i zaczęły się gazowania. Krematorium II i III miało po 16 retort. Retorta to jest ta część pieca, do której wkłada się zwłoki. Normalnie do jednej retorty wkłada się jednego trupa. Przepis jest, ażeby zwłoki palić w trumnie, ale w obozie w trumnie nie palono, wkładano do pięciu trupów do jednej retorty. Retorta, to był otwór czterościany, głęboki, długości około dwóch metrów. Odpowiednio wysoki i szeroki tam gdzie wchodziła normalnie trumna. Palono gazem generatorów, a układano w ten sposób, że zawsze na dół kładziono dwa tzw. kanadyjskie trupy, tzn. tęgie, a na górze trzech „muzułmanów”.

Przewodniczący: Jak długo to się spalało?

Świadek: Około 15 min. Więc jak mówiłem, retort było po 16 w drugim i trzecim krematorium, potem zbudowano dwa nowe krematoria, tj. IV i V. Były to krematoria nowoczesne, które miały po osiem retort, ale spalały więcej i szybciej niż stare. Mieliśmy tam 32 i 16, tj. razem 48 retort. W całych Niemczech poza tym obozem było 55 retort. W całych Niemczech, podkreślam, a w jednym Oświęcimiu było ich 48. Komora gazowa potrafiła więcej ludzi zagazować, niż piece mogły spalić. Komora była zbudowana w ten sposób, że była jedna większa komnata, gdzie były na ścianach gwoździe do powieszenia ubrań. Tam się ludzie rozbierali. Na drzwiach prowadzących do właściwej komory gazowej były napisy we wszystkich językach: „Kąpiel i dezynfekcja – proszę nie zapomnieć ręcznika i mydła”. Były również zmontowane prysznice, oczywiście ślepe. Słowem wszystko było obliczone na to, ażeby wprowadzić ludzi w błąd. Komora była obliczona na ok. 3000 ludzi. Gaz, którym gazowano, nazywał się Cyklon B. Był to cyjanowodor z jakąś mieszanką w postaci proszku, który przy temperaturze 27 stopni Celsjusza zamieniał się w gaz, i dlatego w komorze gazowej musiało być ponad 27 stopni. Nie można było ogrzewać komory, bo ludzie by nie wchodzili, gdyby było za duszno, więc ludzie sami musieli wytworzyć temperaturę wyższą niż 27 stopni. Robiono to w ten sposób, że wtłaczano nie 3000, ale 4000–5000 ludzi. Wtłaczano ich za pomocą specjalnie tresowanych psów. Wpuszczano kilkanaście takich psów, które rzucały się na ludzi, kąsały, gryzły i w tej panice ludzie pchali się do komory, deptali jedni po drugich, tratowali, byle

znaleźć się jak najdalej od tych bestii. O gazowaniu opowiadali więźniowie, którzy pracowali w *Sonderkommando*, że przy ścianie przeciwległej drzwiom, leżały trzy, cztery warstwy trupów, a na nich stali ludzie też martwi, już zagazowani, ale nie było miejsca, ażeby upaść. Z tego wynika, że zanim zaczęli gazować, już było masę trupów leżących, a na nich stali inni. Po tym puszczano w ruch urządzenia, które wypompowywały powietrze. W czterech rogach sali znajdowały się słupy, w środku puste i z góry rzucono do każdego słupa bombę gazową. Była to puszka okrągła w postaci walca, ważąca 500 g. W ścianie znajdowało się okienko, przy którym stał lekarz obozowy, i gdy wszystko było przygotowane, mówił do swojego pomocnika też SS-mana: „No daj im już żreć”. Wówczas ten rzucał puszki do środka. Śmierć następowała. Jak opowiadali świadkowie w ciągu trzech – ośmiu minut. Normalnie czekali 20 min, po tym znaku wypompowywano powietrze, wpuszczano świeże i transportowano trupy do pieców. Przed spaleniem były tam jeszcze przy robocie dwa komanda. Jedno to komando dentystów. Było tam 40 dentystów, którzy wrywali trupom złote zęby. Był tam też specjalny piec, gdzie przetapiano złoto w sztaby i przesyłano do Berlina. Drugie komando obcinało włosy kobietom i z tych włosów robiono materace. Komisja, która pracowała w Oświęcimiu, znalazła jeszcze większą ilość worków z włosami ludzkimi.

Posłanka Boguszewska: Czy materace były wywożone do Niemiec?

Świadek: Tak. Z opisu, który podałem, wynika, że teoretycznie można było gazować nieograniczoną ilość [osób]. Spalać nie można było nieograniczonej ilości, ale transporty szły i trzeba było jakoś dać sobie radę. Zrobiono w ten sposób, że palono ludzi w dołach. Było tam jeszcze bardzo ciekawe urządzenie. Przy paleniu zwłok wytapiał się tłuszcz. Urządzono rynnę z małymi zbiornikami, do których zbierano tłuszcz, i jeżeli był transport chudych ludzi, którzy się źle palili, to dawano ten tłuszcz, ażeby się lepiej palili. W 1944 r. w maju, czerwcu, lipcu, sierpniu i częściowo we wrześniu przychodziły wielkie transporty z Węgier, a także z Holandii, Belgii i Francji. Z samych Węgier przysłano ok. 650 tys. ludzi, i wtedy maszyna pracowała dniem i nocą. Dniem i nocą buchały kłęby dymu. Nie można było nadążyć. Transporty ciągle stały, jeden czekał przy rampie, drugi przy saunie, gdy trzeci był spalany. Wtedy palono gremialnie w dołach. Ponieważ nie było czasu, dzieci i starców rzucono żywcem do ognia, zwłaszcza dzieci. Zamiast 12 min przy gazowaniu czekali 5 min. Część ludzi była jeszcze żywa. Tych tak samo spalano. Spalano przeciętnie po 15–20 tys. dziennie. Opowiadał mi kolega, który tam pracował, że był dzień rekordowy, kiedy w ciągu jednego dnia spalono 26 tys. ludzi.

Cyklonu B przywieziono do Oświęcimia 20 wagonów. Wyrabiała go firma Dessau. Dla zilustrowania nieprzejranych ilości tłumów, które zostały tam spalone, podam jedną cyfrę: z Oświęcimia wysłano 400 skrzyń, każda po 100 kg, okularów. Zaznaczam, że gaz był magazynowany w jednym budynku koło naszego obozu. Gdy przychodziły transporty, wieźli codziennie w miarę zapotrzebowania gaz do Brzezinki. Wieźli karetką Czerwonego Krzyża.

W 1941 r., po ucieczce ok. 60 jeńców rosyjskich nastąpiły represje. Część rozstrzelano, część uciekła, część jakoś się uratowała. Wówczas jeńcy rosyjscy byli w osobnym obozie. Za karę cały obóz jeńców wojennych stał całą noc na apelu, a w dzień poszedł jak zwykle do pracy. Trzy noce stali i trzy dni z rzędu pracowali bez jedzenia w zimnie. W ciągu tych trzech dni było 300 trupów, nie licząc tych, którzy nabawili się różnych chorób i w krótkim czasie pomarli.

Teraz przejdźmy do problemu bloku 11. Blok ten był więzieniem w obozie. Trafiali tam ludzie, którzy coś przewinili, którzy nie przestrzegali porządku obozowego. Oprócz tego znajdowali się tam cywile przywiezieni z wolności, którzy czekali na sąd. Jeżeli na wolności gdzieś się coś stało, to brano więźniów na blok 11., jakiś czas trzymano, a potem rozstrzeliwano za karę. Był tam również bunkier i przez dłuższy czas, gdzieś do maja 1942 r., mieszkało tam *Strafkommando*. Na podwórzu bloku 11. odbywała się tzw. w języku obozowym rozwałka, tzn. rozstrzeliwano i wieszano. Były takie „rozwałki”, że strumienie krwi wylewały się za bramy podwórza. Podwórze jest odgrodzone czerwonym murem i w murze znajduje się brama. Krew wylewała się poza tę bramę na ulicę. Jeżeli ktoś dostał się na blok 11., nie wracał już stamtąd. W wyjątkowych wypadkach wracali więźniowie z bloku 11. do obozu. Stosunek innych więźniów do nich był dosyć dziwny. Ludzie stronili od nich, bali się ich, wychodząc z założenia – częściowo może niesłusznego – że jeżeli ktoś wyszedł z jedenastki, to jest podejrzany. Fakt ten najlepiej świadczy o tym, czym była jedenastka. Na podwórzu bloku 11. stała z tyłu czerwona ściana, która do połowy wysokości była pokryta ścianą betonową. Na ścianie betonowej była warstwa z korka pomalowana na czarno tzw. czarna ściana. Z obu stron stały szubienice. Ludzi skazanych na śmierć prowadzono albo pojedynczo, albo po dwóch przez to podwórze do ścianki, a z tyłu SS-man z krótkiego karabinu strzelał w kark. Normalnie śmierć następowała z miejsca. Każdy skazaniec był nagi. Trupa odsuwano na bok i prowadzono następną parę. Po wykonaniu wyroku była zawsze dość pokaźna górnica trupów.

Przewodniczący: Czy nie było takich wypadków, że skazańcy rzucali się, nie chcieli iść?

Świadek: Takich wypadków nie było, z tego co mi wiadomo, a zresztą trudno mi o tym mówić. Widzieliśmy, jak prowadzono tych ludzi, ale tylko część drogi, to jest od tych schodów

aż do połowy drogi do ścianki. A to dlatego, że tę część podwórza widać było z okien naszego bloku. Gdy była „rozwałka”, wówczas nasz blok otrzymywał rozkaz, ażeby okna zawieszać kocami, ale przez koce można było patrzeć. Zdaje się, że w 1942 r., ale na pewno nie pamiętam, zebrano większą liczbę oficerów polskich na jedenastkę.

Prokurator Pęczalski: Czy to była duża grupa?

Świadek: Może 200–300 ludzi, ale nie podaję liczby, gdyż nie znam jej dokładnie. W czasie zamieszek, w jakimś mieście wywoływano ludzi, którzy z tych miast pochodzili, brano na blok 11. i „rozwałowywano” ich. Otóż, wśród oficerów polskich była próba powstania, grupa składała się z kilku osób. Gdy SS-man wszedł do celi, rzucili się na niego, zabrali mu pistolet, zaczęli strzelać, ale wszystkie cele były pozamykane, nie zdołali zdobyć więcej broni, więc ich wystrzelano.

Prokurator Pęczalski: Czy jeńcy sowieccy, względnie oficerowie polscy, mieli taki sam strój więzienny, czy też pozostawiono im mundury?

Świadek: Polscy oficerowie nie nosili mundurów. Jeńcy rosyjscy byli w swoich mundurach. Na mundurze był numer, a z tyłu na plecach krzyż z czerwonej farby. Gdy wykończyli Rosjan, to mundury ich nosili także więźniowie. Gdy przyszedłem do obozu, dostałem również taki letni mundur rosyjski. Po tym, jak coś się zniszczyło, to wymieniano i bluzy rosyjskie powoli znikły.

Prokurator Pęczalski: Skąd przyszła grupa polskich oficerów?

Świadek: Nie wiem dokładnie, ale zdaje mi się, że zabrali tę grupę z innych lagrów, w których siedzieli. Po „rozwałce” bezpośrednio przyjeżdżał wóz. Było to specjalne auto takie, jakim się przewozi mięso, kryte z góry. Tam ładowano trupy i wywożono do krematorium. Robili to sanitariusze i lekarze. W 1943 r. i mnie blokowy wysłał do ładowania trupów. Stało się prawie do kostek we krwi, ręce też były całe nią umazane, gdyż trupy były jeszcze ciepłe. Wtedy było niewiele, ok. 80 trupów, w tym jedna kobieta. Ładowało się w ten sposób, że dwóch stało przed wozem, brało trupa za ręce i nogi, rozhuśtywało i wrzucało do wozu. Załadowaliśmy połowę i wśród stosu trupów nagle podnosi się jedna głowa i zaczyna się poruszać. Odzywa się jeden z więźniów, którzy pracowali na bloku 11., że ten człowiek jest jeszcze żywy. Wtedy SS-man wziął karabinek, przyłożył lufę do oka i wystrzelił. Jakiś starszy lekarz wzdrygnął się. Zobaczywszy to, SS-man mówi: „Co ty jeszcze krwi nie widziałeś?”. Myśleliśmy, że będzie

jeden trup więcej, ale na szczęście drugi SS-man zaczął się śmiać z tej sceny i dzięki temu lekarz uniknął śmierci.

Przed „rozwałkami” był tzw. *Sondergericht*. Przyjeżdżało dwóch lub trzech oficerów z Oświęcimia i w ciągu godziny lub dwóch odbywał się sąd. W tym czasie załatwiano przeciętnie 200–300 spraw. Zazwyczaj ok. 90 proc. szło na śmierć. Wyjątki szły do obozu za karę, a czasem nawet zdarzało się, że ktoś wychodził na wolność. W 1944 r. na bloku 11. już nie było „rozwałek”, wożono więźniów do Brzezinki i tam ich gazowano albo rozstrzeliwano. Czasem wożono ich w specjalnych autach, w których się mieściło 15–30 osób, i już w tych autach ich gazowano.

Na bloku 11. bardzo często była „wypłata”, tzn. wymierzano karę chłosty. Czasem robiło się to publicznie na apelu, ale częściej na jedenastce. Więźnia umieszczano na specjalnym koźle tak, że nie mógł się ruszać – dwóch stało i biło. Bito pałkami, normalnie dostawało się 25 razów, zazwyczaj był przy tym obecny lekarz obozowy, ażeby skonstatować, że więzień jest na tyle silny i zdrowy, iż wytrzyma 25 razów. Porządek musi być – niemiecki porządek.

Na bloku 11. był tzw. *Stehbunker* wysokości 175–180 cm, długości 2 m, szerokości 75 cm. Do takiego bunkra pakowano pięć osób. Bunkier nie miał okna i miał hermetycznie zamknięte drzwi. Tam spędzali więźniowie całą noc za karę, tj. od godz. 8.00 wieczorem do porannego gongu, czyli przeciętnie dziewięć godzin. Powietrza było za mało dla pięciu osób tak, że rano znajdowano dwóch, trzech uduszonych. Zdarzały się nawet wypadki, zwłaszcza gdy między więźniami był jakiś kapo, że on zaraz na początku zadusił dwóch lub trzech, ażeby móc przeżyć. W 1944 r. *Stehbunker* zniesiono. Istniał tam także *Wasserbunker*. Woda sięgała do wysokości 20–30 cm i więzień był skazany na dwa, trzy dni pobytu w tym bunkrze zupełnie nago. Rzadko który wytrzymał trzy dni.

Ciekawe, że w bloku 11. była tzw. wolnościowa kwarantanna. Jak wiadomo, były pojedyncze wypadki zwolnienia więźniów z Oświęcimia. Przed zwolnieniem musieli przechodzić kwarantannę trzy, cztery tygodnie. I to było właśnie w tym bloku 11., w tym najbardziej krwawym bloku byli ludzie skazani na śmierć i ludzie zwalniani. Oto mały obrazek niemieckiego cynizmu.

Nie mniej ciekawy był Instytut Higieny w Oświęcimiu. Był to wielki kompleks budynków. Znajdowały się w nim instrumenty o dużej wartości. Pracowało tam 150 więźniów, większej

części specjaliści. Robiono tam różne doświadczenia. Większość prac nie miała absolutnie żadnej wartości naukowej. Chodziło o to, że SS-man dr Weber miał dużą protekcję dekował się przed frontem. Dlatego starał się wykazać pracami naukowymi. Ciągłe brano krew i robiono różne próby. Kiedyś wzięto 60 tys. prób kału od więźniów. Kapo tego instytutu, który był szefem kancelarii, więzień polityczny, siedział przez sześć czy siedem lat w tym i innych obozach, był wyjątkowo przyzwoitym człowiekiem. Starał się iść więźniom na rękę w tym sensie, aby jak najbardziej rozbudować to komando po to, żeby jak najwięcej więźniów miało lekką robotę pod dachem. Gdy jakaś praca miała być skończona i trzeba było robić wykresy, to nie robił ich lekarz ani chemik tylko siła kancelaryjna. Tak wyglądały pseudonaukowe prace w Instytucie Higieny. Jeżeli jednak rzeczywiście trzeba było zrobić próbę krwi i zdarzyło się, że posłano przez pomyłkę dwie próby od tego samego człowieka, to wynik mógł być w obu przypadkach zupełnie inny.

Eksperymenty, jakie robiono na więźniach, nie ograniczały się tylko do takich niewinnych zabaw jak branie krwi czy kału. Robiono i inne eksperymenty. W 1944 r. wzięto po raz pierwszy ok. 30 młodych i silnych więźniów na blok 28. Okna były zasłonięte, drzwi zamknięte na klucz. Nikomu nie wolno było wchodzić, sanitariusz był tylko jeden, zabieg robił lekarz SS-man. Wstrzykiwał on mianowicie chorym naftę pod skórę. Następowala oczywiście nekroza tkanek. Tkanki częściowo wycinano i posyłano do mikroskopijnego badania. Rana została u wszystkich, ale u bardzo wielu powstawały w dodatku ciężkie flegmony, zropienia całego podudzia i uda, więc chorych tych posyłano po tym na nasz blok celem leczenia. Jeszcze dzisiaj mam na bloku jednego z tych pacjentów, którego zdaje się pokazywałem. Na jednym podudziu rana jest wygojona, ale znajduje się tam wyraźnie ograniczona prostokątna blizna cztery na osiem centymetrów, tam gdzie była wycięta tkanka. Na drugim podudziu rana jest jeszcze niezagojona, choć minęło już pół roku od operacji.

W Brzezince znajdował się rentgen, w którym sterylizowano mężczyzn dla celów eksperymentalnych. Robiły to siły niefachowe, aczkolwiek rentgenował lekarz SS-man i bardzo często używał zbyt wielkiej dawki. Skutkiem tego powstawały poparzenia nie tylko moszny, ale także uda. Powstawały wielkie i trudno gojące się rany i większość tych ludzi już po pierwszym zabiegu szła do gazu. Tych, którzy przeżyli te naświetlenia, przysyłano na blok 21. i kastrowano. Normalnie w trzy miesiące po naświetleniu, które powodowało kompletną sterylizację, kastrowano. U jednej części robiono połowiczną kastrację, a w trzy miesiące później – kompletną. Innych kastrowano od razu. Kastrację przeprowadzano

w ciągu 20–30 dni. Więźniów kastrował dr Dering. Oprócz tego był w Oświęcimiu specjalny blok kobiet – o numerze 10. – w którym znajdowały się kobiety przeciętnie w liczbie 400 przeznaczone do robienia eksperymentów. Chodziło tu o eksperymenty z rakiem, zwłaszcza rakiem macicy. I znowu sterylizacja kobiet i kastracja, operacja brzuszna z kastracją. Prowadził ten blok dr Clauberg z Królewca.

Przewodniczący: W Katowicach mówiono, że był z Chorzowa.

Świadek: Mieszkał tam, ale podobno pochodził z Królewca. Z pewnością trudno powiedzieć, nazwisko znam na pewno, ale miejsca pochodzenia nie. Operacje na kobietach przeprowadzał także dr Dering. Naczelnym lekarzem bloku 10. był dr Samuel z Kolonii, którego po pewnym czasie sami SS-mani wykończyli, ponieważ za dużo wiedział i za dużo widział. Kiedyś na bloku 12. zastrzyknięto coś chorym – nie wiem co – i w ciągu kilku godzin pomarli. Przysyłano nowe lekarstwa dla wypróbowania, m.in. był preparat, który nazywał się B 1034. Był to preparat z grupy sulfamidów, podobny do prontosilu, który używano przy leczeniu róży. Po selekcji okazało się, że wszystkie organy wewnętrzne były zabarwione na czerwono, a wątroba zdegenerowana.

Kiedyś lekarz obozowy zwołał dwóch lekarzy, trzech sanitariuszy i zdaje się jeszcze dwóch chorych, razem około sześć, siedem osób na bloku 21. Każdy dostał zastrzyk, czekali około pół godziny, po czym zaczęło się przesłuchiwanie tych ludzi. Opiszę tę scenę słowami kolegi, który mi to opowiadał. „Wchodzę do pokoju – mówił – w którym siedzi lekarz i jeszcze jakiś SS-man, i jakiś cywil. Cywil zaczyna się mnie wypytywać, za co siedzę, co zrobiłem. Po prostu krzyżowe pytania. W pewnej chwili wyciąga rewolwer, przykładą mi do skroni i mówi: «Ja cię zastrzelę». Trwało to jakieś dziesięć minut. Opowiedziałem to z miejsca po wyjściu następnemu. Następny sanitariusz, ponieważ już wiedział, był uspokojony, zaczął mędrkować, nawet trochę dowcipkować, wychodząc z założenia, że może sobie na to pozwolić, bo jest po jakimś zastrzyku. Gdy mu przyłożono rewolwer do skroni, a po tym zapytano: «Bałeś się, jak ci przykładalem rewolwer», odpowiedział: «Nie, ponieważ nie wierzę, że pan mnie tutaj zastrzeli». Opowiadał to dlatego, ponieważ z różnych zdań, które to panowie między sobą wymieniali, zorientowałem się, że ma to być środek do wydobywania [informacji] z ludzi, ponieważ metody te miały łamać wolę i wtedy człowiek miał odpowiadać na wszystkie pytania. Oczywiście fiasko było zupełne”.

Chciałem jeszcze wspomnieć o życiu seksualnym. Mówiłem już o domu publicznym w Oświęcimiu. Trzeba o tym pamiętać, że większość kapo, zwłaszcza Niemców, obserwowałem to zwłaszcza u Niemców, gdyż byli to ludzie, którzy siedzieli po 10, 15 i 20 lat, i mieli za sobą po kilkanaście wyroków, a więc ludzie przebywający przez większość swego życia w odosobnieniu od kobiet, którzy byli prawie wyłącznie homoseksualistami. Każdy z nich był lagrowo zamożny. Miał jedzenia i ubrania dość i mógł sobie pozwolić na utrzymanie kochanki. Rolę jej spełniali młodzi chłopcy, którzy byli w obozie. Spaczony młody chłopak, któremu dawano możliwość dobrego życia bez pracy, nazwany ripel [pipel], był po to, żeby gotować dla kapo, oczywiście nielegalnie, obiad, bo tego nie wolno było, żeby wyprać mu bieliznę, żeby mu postać łóżko itd., a przede wszystkim był jego kochankiem. To jeden z bardzo smutnych rozdziałów życia obozowego, bo dzieci zostało niedużo przy życiu, a większość została kompletnie spaczona. Zaznaczam, że oficjalnie homoseksualizm był ostro wzbroniony. Jeżeli przypadkowo przyłapano takiego kapo, to zostawał za karę kastrowany i powołany do *Strafkommando*. Ciekawe, jak już zaznaczyłem, że zboczenie to było rozwinięte w 90 proc. u Niemców.

Prokurator Pęchalski: To nie były takie odosobnione wypadki, skoro wiedzieliście o tym wszyscy. Przełożeni nad kapo też powinni byli o tym wiedzieć. Czemu nie ukrócili tego od razu, czy to nie tłumaczy się tym, że taki SS-man też tak się prowadził?

Świadek: Częściowo tak. Musiał być oficjalny meldunek, który mógł zrobić albo pipel, albo ktoś, który to widział. Taki pipel oczywiście tego nie zrobił. A trzecia osoba nie miała na tyle odwagi. Poza tym meldunek mógł trafić właśnie do SS-mana, który miał to samo na sumieniu. Znam taki wypadek. Kapo chciał zgwałcić pewnego małego chłopca, ten zaczął uciekać, płakać, natrafił na blokowego, który miał wzgląd na płaczącego chłopca, wypytał się go, czemu płacze, wy dostał to od niego w końcu i poszedł z nim do odpowiedniej władzy, gdzie meldunek nie mógł zniknąć i sprawa była przeprowadzona.

Chciałbym wspomnieć jeszcze o kilku sprawach. Jak już mówiłem 18 stycznia poszły te wielkie transporty i była ewakuacja. Z obozu wyszło 58 tys. mężczyzn i kobiet. Poszło parę transportów. Te wielkie transporty liczyły 10–18 tys. ludzi. Trzy tygodnie później przyszło do obozu parę więźniów z tych transportów i opowiadali nam o losie tych transportów. Po drodze każdego słabszego, który nie potrafił wytrzymać tej drogi piechotą wśród zimy, zastrzelono na miejscu. Szli pieszo, potem załadowano ich do wagonów, później znowu szli pieszo i wreszcie zagnano ich na pole między dwoma lasami i karabinami maszynowymi

i ręcznymi granatami wykończyli wszystkich. Dwóch schowało się w stóg siana i chociaż potem szukano – nie znaleziono ich. Kilku dało nura w las. Tylko jednostki się uratowały. Zdaje się, że były nawet protokoły spisane przez nich.

W jednym z lagrów Fürstengrube odbyła się ewakuacja zdrowych ludzi. SS-mani podpalili szpital, obstawili go karabinami i kto chciał się ratować do tego – strzelali i obrzucali ręcznymi granatami. W tym tygodniu przyszedł jeden były więzień. Zgłosił się do mnie, przeżył on Fürstengrube. Miał rękę przestreloną, na głowie rany, bo sufit załamał mu się nad głową. Tylko kilku z nich się uratowało. Bardzo niewielu. Mam sprawozdanie naoczego świadka dr. Erlicha z Czechosłowacji.

W obozie nie tylko publicznie chłostano więźniów, ale także wieszano. Już po południu ustawiano szubienicę przed kuchnią i po apelu wieczorem, kiedy cały obóz stał, sprowadzano delikwentów i wieszano.

Prok. Pęchalski: Szubienice nie stały stale?

Świadek: Nie. Pojedyncze szubienice stały koło bloku 11. Raz powieszono 12 więźniów. Powieszono ich ok. godz. 6.30 wieczorem. O godz. 3.00 w nocy radio londyńskie podało, że dziś wieczór w obozie w Oświęcimiu powieszono 12 więźniów. Straszna była konsternacja wśród SS-manów i zaczęto szukać. Rzucono wtedy całe masy kapusiów (szpiegów) i nic nie znaleziono, aczkolwiek więźniowie mieli stację nadawczą. Była ona ukryta na bloku nr 11. Pod koniec 1944 r. powieszono za uciezkę publicznie pięciu więźniów. Dwóch Polaków i trzech Niemców. Wszyscy czerwoni winkle, jakie nosili więźniowie, jakie nosili więźniowie (polityczni). Po raz pierwszy w dziejach obozu delikwenci przed powieszeniem nie milczeli, ale wznosili okrzyki: „Niech żyje Polska! Niech żyje Rosja Sowiecka! Niech żyje socjalizm! Precz z brunatnym terrorem! Precz z psami SS-mańskimi!”. Skutek był taki, że pobito ich, bo tłum zaczął falować. Zbito, powieszono i po powieszeniu odczytano uzasadnienie wyroku. Skazani byli za przygotowanie ucieczki. Byli to ludzie z naszej organizacji, którzy mieli uciec i przygotować ostatecznie współpracę między partyzantami a nami.

Ucieczki zdarzały się od czasu do czasu. Czasem w pojedynkę, czasem grupami, po dwóch, po trzech. W większości wypadków więźniów łapano. Nie udawało się. Zdarzało się, że złapano nawet po dwóch latach i sprowadzono z powrotem do obozu. Z początku za karę wieszano. Z komando brano każdego dziesiątego i strzelano. Potem był okres, że nie

wieszano, a chłostano, a gdy nastąpiła wielka fala ucieczek, zaczęto znów wieszać. Jeden z kolegów, sanitariusz, uciekł, ale źle przygotował ucieczkę. Po 12 godzinach złapano go poza obozem i sprowadzono. Mieliśmy kontakt z blokiem 11., gdzie przebywał. Posyłał mi paczki i dostawaliśmy od niego listy. W jednym z listów napisał: „Uciekłem, byłem na wolności kilka godzin – całowałem tę wolną ziemię – złapali mnie, ale warto było uciekać. Uciekajcie, kto może, żeby tylko parę godzin na wolności przeżyć”. Listy były pisane na czerwonej bibułce, ledwie do odczytania. Chodziły z ręk do rąk. Był to Polak z Krakowa. Nie został powieszony (był to właśnie ten okres, kiedy nie wieszali), dostał karę chłosty i został posłany transportem w głąb Niemiec.

Przewodniczący: Nie został posłany do gazu?

Świadek: Nie. Pamiętam jeszcze jedną ucieczkę ludzi z naszej organizacji, ucieczkę, która była wyjątkowo dobrze przygotowana i też się nie udała. SS-man był przekupiony, a drugi SS-man miał wóz o podwójnej ścianie, ale w ostatniej chwili niestety zdradził szofera. Gdy wyprowadzono ich z bloku 11., dwóch się otruło. Bali się badania, aby nie wsypać innych. Trzech zostało przy życiu, ale nikogo nie wydali. I jeszcze jedna ucieczka. Dlatego wspominam o niej, że człowiek ten żyje, więzień z pierwszego transportu, Leszek, człowiek, którego zeznania będą bardzo cenne. Miał zdaje się nr 680. Uciekł, krył się trzy miesiące i po przyjeździe Rosjan, wracając do domu, wstąpił do nas. Żyje.

Droktor Mayer: (Wtrąca). Nazywa się Piworotor z Rzeszowa. Był on od pierwszego dnia w obozie.

Świadek: Miałem wspomnieć jeszcze o pewnym obozie, który wprawdzie nie ma związku z Oświęcimiem, ale który ma swoją specjalną cechę. Koło Berezki Kartuskiej była Bronna Góra. Tam zorganizowano obóz, sprawdzano ludzi, transporty przychodziły ok. godz. 2.00 czy 4.00 rano. Ludzie wysiadali i od razu ich sortowano. Osobno kobiety, osobno mężczyźni, osobno dzieci do lat 5, osobno od 5 do 12 lat. Było tam takie wielkie pole, które wznosiło się do góry, rowy wykopane długości stu metrów, szerokości dwóch metrów, a głębokości czterech do pięciu metrów. Ludzie musieli się rozebrać do naga, układano żywych: warstwa mężczyzn i na to warstwa kobiet, obsypywano ich granatami, strzelano z automatu, byli ranni i żywi, posypywano ich chlorkiem, znów warstwa mężczyzn i znów warstwa kobiet i znów posypywano chlorkiem itd. Dzieci do lat 5 albo łapano za nóżki i głową uderzano o kamienie, albo częściej rzucono w powietrze i strzelano do celu. Dzieci od lat 5 do 12 gnali na górkę

i ćwiczyli się w strzelaniu. Około południa kończyła się zabawa. W obozie tym mniej ludzi zginęło niż w Oświęcimiu, ale w sposób tak charakterystyczny dla Niemców.

Prokurator Pęczalski: Pan oczywiście wie o tym od kogoś, pan nie był tam?

Świadek: Od kolegi, który rozmawiał z naocznym świadkiem. Będę mógł podać liczby, bo kolega ten prawdopodobnie tam jest. Niemiec SS-man chciał wykończyć, wybić wszystkich, zniszczyć, bo ludźmi są tylko Niemcy, w jego pojęciu i tylko Niemcy mają prawo do życia – i co widzieliśmy? Widzieliśmy jedno, że ta straszna nienawiść, to morze krwi, zrodziło jeszcze większą nienawiść, nie tylko w stosunku do Niemców. Posiew tej nienawiści wydał i ciągle jeszcze wydaje straszne plony. Straszne i bardzo obfite i to jest i będzie stale i ciągle poza grobową zemstą Hitlera i jego zbirów. Jest tyle nienawiści, że nienawidzimy nie tylko SS-mana, nienawidzimy jeden drugiego, przelewa się nie tylko krew niemiecka, lecz także przelewa się ciągle krew innych. Nienawiść ta wyda znów plon, znów nienawiść. I znajdujemy wciąż i będziemy się dalej znajdować w błędnym kole bez wyjścia. Jeżeli nie zdobędziemy się na to, żeby to koło nienawiści przerwać, jeżeli nie zdobędziemy się na wielki ogrom miłości, to staniemy się takimi jak oni i zginiemy, tak jak oni.

Przewodniczący: Dziękuję panu doktorowi za to oświetlenie wypadków i może mają państwo jakieś pytania, to prosimy składać panu doktorowi do wyjaśnienia.

Poseł Kornacki: Podał pan doktor bardzo wysoką liczbę ofiar Oświęcimia. Na jakiej podstawie są one oparte? Jeżeli chodzi o numerowanie więźniów, to było ich 360 tys., natomiast ofiary Oświęcimia są szacowane na 6–7 mln. Chcielibyśmy wiedzieć, na jakiej podstawie są te liczby oparte. Jaka metoda doprowadziła do tego rodzaju obliczeń – to byłoby pierwsze pytanie.

Świadek: Powtarzam. Podług danych kancelarii, gdzie mieliśmy wgląd, stan numerowanych wynosił ok. 360 tys. ludzi. To można dokładnie wyliczyć. To jest nieważne, bo następny świadek ma dokładne wyciągi z kancelarii. Jeżeli chodzi o sumę 6–7 mln, czy 5,5 mln, to mówiłem już, że cyfra ta powstała z rozmów, z uzgodnień, z tego, co jeden drugiemu mówił, słyszał z zeznań, czy z opowiadań kapo, który pracował w *Sonderkommando*. Liczby te też częściowo pochodzą z zeznań pracowników kolei, którzy orientują się, ile transportów przyszło, ile w jednym wagonie było ludzi itd. Z tego, co kolejarze zeznawali, wynika, że tylko w latach 1943 i 1944 powinno było (uważam to za zbyt wysokie) przyjechać do 5 mln

ludzi, tak zeznawali urzędnicy kolei przed komisją radziecką. Część ludzi prawie z większości transportów, lecz nie ze wszystkich, przychodziła do obozu, ich się pytano – „Ilu was było?”, a oni mówili. Obliczyliśmy, że do obozu wchodziło około dziesięć procent. Jeżeli weźmiemy sumę 360 tys. ludzi, którzy byli numerowani w obozie, pomnożymy przez dziesięć, to dostaniemy 3,75 mln. Trzeba do tego doliczyć te transporty, z których nikogo nie brano do obozu, a więc wychodząc z tego punktu, dojdziemy do cyfry od 5,5–6 mln. Skąd tylko zaczniemy, dochodzimy do tej samej cyfry.

Prokurator Pęchalski: Czy panowie orientujecie się w ramach tych pięciu do siedmiu milionów, ile przypadało na poszczególne państwa i narodowości. Słyszałem, że było 600 tys. Węgrów, drugi raz, że milion. Czy można by czegoś się o tym dowiedzieć?

Świadek: Kilka liczb mniej więcej pewnych mogę podać. Z Węgier 650 tys. w 1944 r., z Francji tylko w 1944 r. – 690 tys., z Łodzi tylko w 1944 r. – 70 tys., z Będzina w sierpniu 1944 r. – 40 tys., z Teresina w październiku 1944 r. – 30 tys., w 1943 r. z Salonik – 50 tys., a z Aten – 100 tys. Więcej takich danych może podać prof. Dawidowski.

Prokurator Pęchalski: Czy z Rumunii nie było transportów?

Świadek: W Rumunii były na miejscu obozy.

Prokurator Pęchalski: Jak pan doktor zdobył informację, że w pewnym okresie płacono 60 marek SS-manowi za trupa?

Świadek: W 1942 r. pracowałem w Bunie przy kopaniu fundamentów i potem wzięli nas do tzw. *Tiefbau*, tj. budowania fundamentów dla hal fabrycznych. Robi się dziury głębokości 16 m, średnicy metra, napełnia się betonem pod fundament dla hal fabrycznych. Przy tym pracuje maszyna elektryczna, a przy każdej takiej maszynie pracował jeden majster cywil i czterech więźniów. I ja pracowałem przy takiej maszynie. Majster, u którego byłem, był lotnikiem niemieckim i przebywał na urlopie roboczym. Był on troszkę nienormalny. Nawet pamiętam, że gdy szliśmy do roboty, kapo nas ostrzegał, abyśmy byli ostrożni, bo z nim jest trudna współpraca (ostrzegał kapo przed tym majstrem). W pewnej chwili patrzy na mnie majster i mówi: „Po co się męczysz i tak stąd żywy nie wyjdiesz, musisz umrzeć. Wiesz, ja cię zastrzelę, ty sobie zaoszczędzisz trudu, a ja dostanę nagrodę 60 marek”. Poza tym byli więźniowie, którzy pracowali w domach wyższych SS-manów i mieli wgląd w różne papiery i słyszeli rozmowy SS-manów na ten temat.

Prokurator Pęchalski: Czy pan doktor widział sam zlikwidowanie transportu 600 dzieci?

Świadek: Sam tego nie widziałem, podobnie jak nie widziałem, że przyjechały dwa transporty z Theresienstadt do Brzezinki. Nikogo nie zagazowano. Dzieci i starcy weszli do jednego obozu i żyli tam przez kilka miesięcy. Było ich tam, zdaje się, ok. 6000. Pewnego dnia wzięto połowę i zagazowano, niedługo potem drugą połowę i też zagazowano. Tego nie widziałem, ale to jest faktem.

Posłanka Boguszewska: Jaki był los noworodków?

Świadek: W obozie kobiecym nigdy nie byłem, dlatego nie mogę o tym nic powiedzieć, będą tutaj koledzy, którzy znają tę sprawę dokładniej. Moja koleżanka, która jest w Krakowie, była tam i opowie dokładnie. Mogę powiedzieć, co słyszałem od naocznego świadka, od jednej kobiety. Nie dawano dzieciom żadnego pokarmu i dziecko normalnie w dwa do trzech dni umierało z głodu. Rodzenie dzieci było wzbronione. Tak samo dzieci, jak i matka szły do gazu.

Przewodniczący: Zwiedzaliśmy Oświęcim i widzieliśmy fotografię kobiety ze Śląska, o której mówiono, że urodziła to dziecko w obozie. Dziecko mające prawie dwa lata miała na rękach. Było podchowane.

Świadek: Wiem, o co chodzi, ale to było sześciomiesięczne dziecko.

Przewodniczący: Na pewno starsze.

Świadek: (Oglądając fotografię). Tak to jest półroczne dziecko. Ta kobieta, która jest na zdjęciu, nie miała numeru, bo ona nie była jeszcze więźniem, ale tylko *Polizei Häftling*, tzn., że była oskarżona, posłana na blok 11. i siedziała na parterze w bunkrze. Była w odmiennym stanie i przed porodem została posłana do Birkenau do szpitala. Tam rodziła, a potem posłano ją znów do bloku 11. Gdy transport szedł na zachód, nie poszła i tak uratowała życie dziecku i sobie. Ostatnie gazowanie było w październiku 1944 r. Po tej dacie przyszedł do gazu transport, w którego skład wchodziły dzieci ze Słowacji, przez omyłkę, bo nie wiedziano, że gazowania już nie ma i ci wszyscy zostali przy życiu. Oprócz tego były tzw. *Zwilingi*, tzn. bliźnięta.

Był taki dr Mengele, *Lagerarzt*, który pisał pracę naukową pod tytułem „Bliźnięta”. Ile razy przychodził transport, to chodzili i pytali się, czy są w nim bliźnięta i małe dzieci czy dorośli,

jeśli byli bliźniętami, to szli do obozu, jeżeli nawet cały transport szedł do gazu. Jeżeli ktoś poinformował, to naprędce zestawiano bliźnięta: wzięto chłopczyka i dziewczynkę, dano im wiek i wspólne nazwisko i podawano ich jako bliźnięta i szły do obozu.

Między nimi było dwoje dzieci – bliźnięta. Pytam się jednego – „Ile masz lat?” – „Dziesięć”, – „A ty?” – „Dziesięć”. „Jesteście bliźniętami?” – „Tak”. Po dwóch dniach zorientowały się, że im nic nie grozi, powiedziały prawdę. Jeden miał osiem, a drugi dziesięć lat. Nie były nawet z jednej rodziny, dr Mengele pracował i na tej podstawie pisał prace naukowe.

[Podam] jeszcze parę nazwisk *Lagerarztów* i kilku bardziej znanych morderców, spisaliśmy je kiedyś, te, które każdy z nas pamięta.

Lagerkommendant Sturmbannführer: Höß, Liebehenschel, Baer, Kraus (z Lublina).

Lagerleiter Hauptsturmführer: Aumayer [Aumeier], Schwarz.

Obersturmführer: Hoffmann, Hesser [Hössler], Seal [Sell] (*Arbeitseinsatz*), Josten, *Leiter der SS-Zentralbauleitung Sturmbannführer* Bischof.

Obersturmbannführer: Jotan [Jothann] (pierwszy zastępca), Egelin [Eggeling] (drugi zastępca), *Leiter der Landwirtschaft Sturmbannführer* Caesar.

Lagerarzt: dr Entress, dr Tilo [Thilo], dr Klein, dr Fischer, prof. Clauberg, dr Mengele, dr König, dr Rode [Rohde], dr Kitt, dr Helmersen.

Rapportführer: Palitsch [Palitzsch], Stiebitz, Klausen [Claussen], Hartwig, Kaduk, Sommerer, SDG [*Sanitätsdienstgrade*] pomocnicy sanitariuszy: Klehr, Niedźwiecki.

Szef magazynu chlebowego: Schuhmacher [Schumacher] (Düsseldorf).

Blok 11.: Schlager [Schlage], Schulz (SS-man, który prowadził bunkier).

Z politycznego: Lachman [Lachmann], Bogger [Boger].

Przypomina mi się pewna scena, gdy *Lagerarzt* robił selekcję. Wstali wszyscy chorzy, którzy mogli chodzić, przedefilowali przed nim. On rozsortował – potem miał oglądać wszystkich tych, którzy leżeli w łózkach, chodził między łózkami i chciał sortować, nagle powiedział: „Chcę, aby każdy miał w ręku kartę pocztową”, potem zniecierpliwił się i powiedział: „Wszyscy”. „Pan” Rohde nie miał cierpliwości czekać dwóch minut. Albo jeden z *Rapportführerów* Palitzsch, który najwięcej strzelał na bloku 11. Gdy Palitzsch przyjechał na rowerze

z karabinkiem na plecach – to wiedzieliśmy, że będzie strzelanie. Raz po pijanemu przyznał się, że zastrzelił 25 tys. ludzi. Godnym konkurentem był Stiebitz [Stiewitz]. Sekundował mu Claussen. Specjalnie odznaczył się Kaduk. Był znienawidzony w obozie, jak rzadko kto, jak rzadko który, zawsze był pijany, pochodził ze Śląska, zdaje się. Chodził po obozie, zbierał sobie grupę ludzi, ćwiczył dla zabawy, robił rewizje – chciał coś zarobić. Jak nic nie znalazł – to bił.

Było 18 tys. Cyganów – został tylko jeden. Wszystkich zagazowano po długim trzymaniu w obozie. Przed gazowaniem sprowadzono do naszego obozu Cyganów i umieszczono w bloku 8., 9. i 10., gdzie mieszkali. Troszkę niesforne towarzystwo. Kiedyś była komenda *Lagersperra* i to dosyć długo trwało. Mężczyźni, kobiety i dzieci wchodzili do bloków, nim to wszystko weszło do środka – przyszedł Kaduk. „Co jeszcze nie wszyscy w środku?”. Wyciąga rewolwer i strzela w tłum. Był pijany. Tylko jedna kula trafiła rykoszetem Cygana w brzuch. Kaduk z zamiłowaniem strzelał po ulicy lagrowej. Raz przyszedł do kina i kazał w półgodzinnym przysiadzie oglądać film. Ale to były drobniejsze zabawki. Nie wolno zapominać o Sellu. Miał tzw. *Arbeitsinsatz*. pilnował, żeby praca w obozie była wydajna – coraz większa – robił selekcje i posyłał ludzi do gazu bez polecenia Berlina. Szczególną sławą cieszył się Schlage i *Rottenführer* Stiewitz, który był szefem bloku 11. Jeszcze smutniejszą sławą okryli się Lach i Boger z Oddziału Politycznego. Oni to katowali przy przesłuchaniach, bardzo, bardzo wielu posłali na śmierć.

Na tym przesłuchanie świadka w dniu 14 kwietnia 1945 r. zakończono.

Po przeczytaniu przekładu stenogramu świadek oświadczył, co następuje: Protokół niniejszy odtwarza wiernie treść i sens moich zeznań, odpowiada zatem mej woli, w dowód czego podpisuję go własnoręcznie.